

# Jutro klasówka

Edmund Niziurski



calibre 0.9.27

*Edmund Niziurski*

*Jutro klasówka*

*Spis treści:*

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

**ROZDZIAŁ I**

*Miesiąc styczeń i luty tego roku zapisały się w naszej szkole jako*

*miesiące ulgowe i olimpijskie. Ulgowe z powodu choroby pana Kwasa.*

*Zaraz po feriach świątecznych pan Kwas zachrypl, a potem stracił głos, i*

*był nieczynny pedagogicznie przez cały miesiąc. Z początku nie chcieliśmy*

*uwierzyć, że pan Kwas mógł stracić głos, ponieważ srogi matematyk*

*odznaczał się najsilniejszym głosem w całej szkole i nieraz pan kierownik*

*nie mogąc dać sobie rady z młodzieżą, odwoływał się do pomocy organów*

*głosowych pan Kwasa. Niestety okazało się, że nawet pan Kwas,*

*niezniszczalny i groźny pan Kwas, może zachorować. Napelniło to nas*

*smutkiem i wstydem, gdyż nie ulegało wątpliwości, że to my jesteśmy*

*sprawcami jego choroby. Przez całe trzy dni w szkole było cicho jak*

*makiem zasiał. Odwiedziliśmy pana Kwasa w domu, czym go bardzo  
wzruszyliśmy. Ale pod koniec wizyty pan Kwas wyciągnął spod poduszki  
notes, wydarł z niego kartkę i napisał:*

*„To bardzo miłe z waszej strony, że mnie tak żałujecie, ale na wszelki  
wypadek radzę wam powtórzyć ułamki. Może jutro przyjdziecie do mnie z  
książką do arytmetyki i zeszytami, to zapiszemy, co macie powtarzać”.*

*Zrobiło nam się wtedy bardzo niedobrze. Pożegnaliśmy się szybko i  
— wstyd doprawdy się przyznać — nie odwiedziliśmy już więcej pana*

# **Kwasa.**

*Bo kto by myślał o ułamkach, kiedy właśnie rozpoczęła się olimpiada! Tak jest! Zanim jeszcze zapłonął znicz olimpijski w Innsbrucku, my już urządziliśmy olimpiadę w Niektaju.*

*Ja i Cykucki mieliśmy wyjątkowe szczęście. Dostaliśmy nie lada zaszczytu. Siódmacy zaangażowali nas do swojej drużyny hokejowej w charakterze bramkarzy. A było to tak. Gdy tylko zamarzło rozlewisko koło hałd za ogrodem fabrycznym, codziennie po lekcjach wybieraliśmy się tam z Cykuckim na ślizgawkę. Mieliśmy nowe łyżwy i świetnie nam się jeździło. Kiedyś przyszedł tam Kłapuch ze swoim kolegą Rosołem z siódmej A i zaczęli nam się przyglądać.*

*— Dobrze jeżdżą pędraki — powiedział Kłapuch.*

*— Można by ich wziąć — powiedział Rosołek.*

*I wzięli nas. Z początku co prawda myśleliśmy, że nas wezmą do ataku, ale okazało się, że potrzebowali bramkarzy. Bo nikt z siódmaków nie chciał być bramkarzem. Wiadomo. Bramkarz się nie najeździ, goli nie strzela, stoi w bramce i marznie, a jak drużyna przegra, to wszyscy mają do niego pretensje. Tak, ciężki jest los bramkarza, ale my i tak byliśmy zadowoleni: grać w drużynie olimpijskiej, to nie było co. I to jeszcze u przemądrzałych siódmaków! Cała klasa nam zazdrościła.*

*Otrzymaliśmy specjalny strój ochronny. Na głowę — hełm motocyklowy, na twarz maskę szermierczą, nogawki wypchano nam jaśkami, tułów owinięto wielką poduchą i zaopatrzone w grube kozuchy.*

*Tak nadziani staliśmy jak nieforemne bałwany na bramce. Ledwie mogliśmy się ruszać. Ale, jak powiedziałem, i tak byliśmy szczęśliwi. Z poświęceniem zasłanialiśmy własnym ciałem bramkę, rzucaliśmy się na lód, wylapywaliśmy krążek. Nieraz, bywało, oberwaliśmy porządnie kijem. Nikt tam się z nami nie patyczkował. Często zamiast silić się na uciążliwe gonitwy za krążkiem, roznamiętnieni gracze stosowali uproszczony system i walili się kijami po łbach. Nam się najwięcej dostawało. Całe szczęście, że mieliśmy te hełmy na głowach i te poduszki. Tak zeszyły prawie dwa miesiące. Wreszcie pod koniec lutego pan Kwas wyzdrowiał, wrócił do klasy i, jak się okazało, odzyskał całkowicie głos. Wezwawszy do tablicy paru zuchów i stwierdziwszy z przykrością, że nie potrafią wykrztusić ani słowa o ułamkach i że znajdują się w stanie dziwnego osłupienia, zagrzmiął:*

*— Cóż to?! Czyżbyście wy teraz z kolei stracili głos? Nie, moi drodzy, w to ja nie uwierzę. Słyszałem was na lodowisku! To raczej inna choroba was gnębi. Ja to nazywam otępieniem bałwankowym, często występującym u młodzieży zimą. Ale ja mam lekarstwo na otępienie bałwankowe, na gorączkę hokejową tudzież saneczkową. To lekarstwo nazywa się klasówka. Ona was otrząśnie! Dosyć zabawy, moi drodzy, za trzy dni piszemy klasówkę.*

*Na to straszne słowo klasa zdrętwiała i zamieniła się w słup lodu.*

*Pochłonięci białym szaleństwem zapomnieliśmy, że na świecie prócz łyżew, nart, sanek i śnieżek istnieją także takie przykre rzeczy jak klasówki z arytmetyki.*

*Kwas popatrzył po nas z wyraźnym obrzydzeniem dla naszej*

niewiedzy.

— *No i cóż? Zadrżeliście, olimpijczycy?*

*Istotnie zadrżeliśmy. Nawet Beksiński zwany Beksą, który w zeszłym roku rozwiązywał z łatwością zadania o okropnych kranach i basenie, też zadrżał. I on widać uległ otępieniu bałwankowemu tej zimy. Cała klasa zadrżała. Z wyjątkiem Cykuckiego. Bardzo mnie to zdziwiło, bo kto jak kto, ale Cykucki miał najwięcej powodów do zadrżenia, a on nie tylko nie zadrżał, ale nawet podniósł rękę do góry.*

— *Czy chcesz coś powiedzieć, Cykucki?* — zapytał pan Kwas.

— *Tak, proszę pana.*

— *Co chcesz powiedzieć?*

— *Chcę powiedzieć, proszę pana, że ja nie zadrżałem.*

*Pan Kwas spojrział na Cykuckiego zdziwiony. Myślał, że Cykucki żartuje, ale twarz hokeisty była bardzo poważna.*

— *Czy tylko to chciałeś powiedzieć, Cykucki?* — zapytał marszcząc

**surowo brwi.**

— *Nie... Chciałem jeszcze zapytać, czy ta klasówka będzie o ułamkach.*

— *Tak. Musicie sobie powtórzyć ułamki — odparł Kwas — i zadania tekstowe z poprzedniego rozdziału.*

— *To znaczy, że będzie o pociągach, jadących z przeciwka? — dopytywał się Cykucki.*

*Pan Kwas zawahał się.*

— *Coś w tym rodzaju. Ale dam wam oczywiście zadanie, którego nie ma w podręczniku.*

— *Ale z tego gatunku?*

— *Z tego gatunku.*

— *Aha — mruknął Cykucki, ale nie usiadł. Chwilę nad czymś się zastanawiał, a potem zapytał:*

— *A czy jak ktoś napisze na piątkę, proszę pana, to pan go zwolni z lekcji w czwartek?*

*Wszyscy spojrzeli zdziwieni na Cykuckiego. To było śmiałe żądanie.*

*Pan Kwas uśmiechnął się pod nosem.*

— *Masz zamiar napisać na piątkę, Cykucki?*

— *Tak jest, proszę pana. I jak napiszę, to prosiłbym, żeby mnie pan zwolnił z lekcji w czwartek.*

— *Dlaczego mam cię zwolnić?*

— *Bo w czwartek arytmetyka jest na ostatniej godzinie, a ja mam*



*wtedy trening w siódmej klasie.*

*— Prawda! — wycedził pan Kwas. — Ty przecież należysz do tego bractwa, co okłada się kijami na lodzie koło mojego domu.*

*— Ja... ja bardzo przepraszam, proszę pana, ale to nie jest bractwo, tylko drużyna hokeja na lodzie.*

*— Oczywiście... oczywiście — zamruczał pan Kwas. — Widziałem was przez okno, kiedy byłem chory i podziwiałem.*

*— Cieszymy się, że pan nas oklaskiwał — powiedział Cykucki.*

*Pan Kwas chrząknął.*

*— Oklaskiwał... no nie... to za dużo powiedziane. Nie mówię, że was oklaskiwałem. Podziwiałem tylko. Podziwiałem waszą... hm... żelazną kondycję i zdrowie.*

*— Miło nam, proszę pana — bąknął Cykucki.*

*— To było straszne! Jak wy to wytrzymywaliście!*

*Cykucki uciekał z oczami.*

*— Hokej jest twardą grą, proszę pana.*

*— Że też się nie pozabijaliście! Istny cud.*

*— To nie cud. Ma się tę technikę, proszę pana.*

*— I ty po tym wszystkim śmiesz marzyć o piątce z arytmetyki.*

*Pierwszy raz słyszę coś podobnego. To jest bezczelność, Cykucki.*

*Cykucki pociągnął nosem.*

*— Pan sprawia mi przykrość... Ja wiem, że jestem zabiedzony i niedożywiony, ale ja chyba też mogę mieć piątki — mówiąc to zrobił bardzo żalospną minę, jakby się miał za chwilę rozplakać. Chuda twarz*

*jeszcze bardziej mu się wydłużyła, sine usta wygięły się w podkówkę.*

*Patrzyłem na niego z niesmakiem. Znałem się na tych jego*

*zagraniach. Cykucki w ten sposób działał na nauczycieli.*

*Kwas zamruczał pojednawczo.*

*— Mój drogi Cykucki — powiedział — nie twierdzę, że nie jesteś w ogóle zdolny do otrzymywania piątek z arytmetyki. Ale jeśli po tym, co widziałem przez okno, napiszesz klasówkę na piątkę, gotów jestem zwolnić cię nie z jednej, a z dwu lekcji, a nawet gotów jestem ufundować własnym sumptem puchar dla hokeistów. Puchar Sebastiana Kwasa... to nawet ładnie będzie brzmieć.*

*To powiedziawszy opuścił z godnością klasę, zostawiając nas w zupełnym osłupieniu. Kiedy przyszliśmy do siebie, od razu obskoczyliśmy Cykuckiego i zażądaliśmy wyjaśnień, co go skłoniło do takiej mowy do Kwasa. Ale Cykucki uśmiechnął się tylko pod nosem i dał nogę z klasy. Dopadłem go jednak na korytarzu i widząc, że nie chce mówić przy świadkach, zaciągnąłem w bezpieczny kąt.*

*— Słuchaj, Cykuś — powiedziałem — czy ty przypadkiem nie odniosłeś poważniejszej kontuzji czaszki mimo ochronnego helmu?*

*— Co? Dlaczego? — uśmiechnął się.*

*— Jak mogłeś z czymś takim wyrwać się do Kwasa! Wiesz, jaką markę mają u niego hokeiści. Teraz już podpadliśmy bez pudła. Koniec i kropka. Kwas będzie miał na nas oko i bomba z klasówki nas nie minie.*

*— Myślisz? — Cykucki znów uśmiechnął się dziwnie.*

*— O ile wiem, umiesz tyle co ja — powiedziałem nieco*

**zdezorientowany.**

— *Zgadza się.*

— *To znaczy nic nie umiesz.*

— *Zgadza się — powtórzył nie zmieszany Cykucki.*

— *No, więc jak napiszemy tę klasówkę?*

— *Olimpijsko napiszemy.*

— *Przestań się śmiać i mów poważnie. Wciągnąłeś mnie do tego hokeja i musisz teraz ze mną poważnie... Naprawdę nic się nie boisz?*

— *Nic.*

— *Dlaczego się nie boisz?*

*Wzruszył ramionami.*

— *Ty coś ukrywasz. Masz jakąś tajemnicę — naciskałem go.*

— *Dobrze, powiem ci — uległ wreszcie — ale nie będziesz miał do mnie o nic pretensji. Obiecujesz?*

— *Obiecuję — odrzekłem nieco zdziwiony.*

— *No więc słuchaj — Cykucki spuścił na oczy powieki z długimi rzęsami. — Ja się dlatego nie boję arytmetyki, bo mam gwarancje.*

— *Co takiego? Gwa... gwarancje?*

— *Ubezpieczeni jesteście. Obaj. Ty i ja.*

— *Niby jak to?*

*Cykucki uśmiechnął się i znów opuścił rzęsy.*

— *Ja, bracie, zasuwam zawsze pewnie. Ty oczywiście o tym nie pamiętałeś, ale ja spisałem z siódmakami umowę, czyli kontrakt.*

— *Ty? Nie wierzę — spojrzałem na niego z podziwem.*

— *No, to patrz! — wyciągnął z zanadru zatluszczony brulion, w*

*którym zapisywał wyniki olimpijskie z Innsbrucku, a z brulionu wydobył*

*złożony we czworo arkusz kancelaryjnego papieru, ozdobiony w nagłówku*

*kółkami olimpijskimi oraz suto zaopatrzony w pieczęcie.*

— *To jest właśnie umowa. Przeczytaj sobie — powiedział.*

*Rozwinąłem arkusz i przeczytałem:*

# UMOWA SPORTOWA

*Reprezentacja olimpijska klasy siódmej A sekcja hokeja na lodzie*

*angażuje na stanowisko bramkarzy kol. Zbigniewa Cykuckiego i kol.*

*Jarostawa Strzębskiego. Koledzy Zbigniew Cykucki i Jarostaw Strzębski*

*obowiązani są:*

*§ 1. nie wpuszczać krążka do bramki,*

*§ 2. nie płakać (skreślono i wpisano „nie załamywać się”) w razie gdyby mimo wszystko wpuścili krążek,*

*§ 3. być do dyspozycji drużyny olimpijskiej o każdej porze dnia i nocy,*

*§ 4. słuchać trenerów i nie wykręcać się od ćwiczeń,*

*§ 5. pić tran (codziennie duża łyżka),*

*§ 6. ze swej strony reprezentacja olimpijska obowiązana jest: dostarczyć bramkarzom strój ochronny,*

*§ 7. nie używać w stosunku do bramkarzy słów: „mały”,*

*„mikrus”, „szczeniak”, „smarkacz”, „pędrak” oraz*

*„pętak” i innych tym podobnych obraźliwych wyrażen,*

*§ 8. w razie wpuszczenia gola nie bić bramkarza,*

*§ 9. dostarczać bramkarzom 10 dkg kielbasy jałowcowej*

*i butelkę soku pomidorowego co drugi dzień,*

*§ 10. ubezpieczyć bramkarzy od strony gogów, a*

*zwłaszcza Kwasa.*

*Jako rękojmię wypełnienia zobowiązań reprezentacja*

*odda pod zastaw bramkarzom narty typu „Klimczok” z  
wiązaniami kandahar i kijkami metalowymi. W razie  
niedotrzymania któregoś z paragrafów umowy zastaw  
przechodzi na własność bramkarzy.*

*— Widzisz — powiedział z dumą Cykucki — paragraf dziesiąty*

# **zabezpiecza nas przed Kwasem.**

*Spojrzałem na Zbyszka z niekłamanym podziwem.*

*— Nadzwyczajne! Że też o wszystkim pomyślałeś!*

*— Ho, ho, bracie — uśmiechnął się Cykucki — w sprawach natury  
prawnej ja jestem oblatany. Grunt to zabezpieczyć się prawnie. Wiesz, że  
my, Cykucy, mamy to we krwi. U nas to jest wrodzone i rodzinne.*

*Skinąłem głową ze zrozumieniem. Wiedziałem, że ojciec Cykuckiego  
jest woźnym w sądzie, stryjek prokuratorem, a wujek notariuszem, czyli*

**rejentem.**

— *Teraz wszystko kapujesz — powiedział Cykucki. — Na pewno dziwiłeś się, czemu siódmacy tak się z nami cackają i nie używają słów. To właśnie z powodu tej umowy.*

— *A ja myślałem, że to dlatego, że... my jesteśmy świetnymi bramkarzami — bąknąłem.*

— *Pewnie, że jesteśmy świetnymi — wzruszył ramionami Cykucki — ale nic by nam to nie pomogło, gdyby nie umowa na piśmie. Wiesz, jacy są siódmacy. Nikt z ich klasy nie chciał stać na bramce, bo oni bili bramkarzy za wpuszczone gole. Ale ja się zabezpieczyłem.*

— *I dlatego oni dali ci te narty?*

— *Dlatego.*

— *A ja myślałem, że oni tak... po dobroci.*

— *E, tam! Skądże! Ja je wytargowałem w umowie.*

— *Nic mi nie mówiłeś o tej umowie i w ogóle... — zasępiłem się urażony. — Dlaczego?*

*Cykucki zmieszał się.*

— *Ja... no... po prostu zapomniałem... ale czy to ważne? Ty się przecież nie znasz na prawie. Nie myślałem, że cię to zainteresuje.*

*Zresztą... wiesz... ja...*

— *Wiem! Świnia jesteś, nie chciałeś po prostu, żebym jeździł na tych nartach. A kielbasa i sok?! Też nie powiedziałeś, skąd je masz.*

— *Jak to? Przecież mówiłem, że to od siódmaków.*



— *Ale mówileś, że to dlatego, że oni cię uwielbiają — mówiłem*

*rozgoryczony. — Sam wszystko zżerałeś!*

*Cykucki pociągnął nosem. Twarz mu się wydłużyła.*

— *A... ja jestem niedożywiony, a ty...*

— *Co ja?*

— *Ty mówileś, że już nie możesz patrzeć na kielbasę, bo masz wujka*

*w Zgórzu, który robi lewe kielbasy i wam stale przysyła, i ty nabrałeś*

*wstrętu.*

— *Ale sok?! — wykrzyknąłem wzburzony. — Ale sok bym pił!*

— *Sok był tylko do kielbasy... żeby... żeby lepiej trawić. Jak się je*

*kielbasę, to się pić chce.*

— *A narty! — krzychałem. — Sam jeździłeś!*

— *Jak to. Nie pożyczałem ci?*

— *Tak, z łaski.*

— *Obiecałeś, że nie będziesz miał pretensji — jęknął Cykucki. —*

*Widzisz, jaki jesteś? Po co ja ci powiedziałem o tej umowie.*

— *To nie pretensje, to tylko pytania — zasapałem ze zdenerwowania.*

— *Tak... pytania... — powtórzył płaczliwie Cykucki. — Zamiast mi*

*podziękować, to się ciskasz, a to przecież ja zawarłem tę umowę. Gdyby nie*

*ja to by ciebie w ogóle nie było w tej umowie, tobie by nie przyszło do*

*głowy, żeby się zabezpieczyć. A ty zamiast wyrazić mi wdzięczność...*

— *Wdzięczność?! No, wiesz, bezczelny jesteś.*

— *Tak, wdzięczność, bo ja cię chcę uratować od Kwasa, a ty z*

*wyrzutami... Wiesz, przykrość mi sprawiłeś — Cykucki znów zaczął*

*pociągać nosem i usta wyginać w podkówkę tak boleśnie, że o mało co nie zrobiło mi się go żal.*

*Chciałem powiedzieć, żeby nie grał przede mną komedii, ale dałem spokój. Szkoda nerwów. Nie dojdę z nim do ładu i nie odbiorę mu tego soku, który wyżłopał na mój rachunek. Potem pomyślałem, że w każdym razie powinienem się obrazić i nie zadawać się z nim więcej, ale przypomniałem sobie klasówkę wiszącą jak bomba nad moją głową i postanowiłem na razie schować honor do kieszeni.*

*— Potem się porachujemy — westchnąłem. — A teraz chodźmy do Kłapucha z siódmej, żeby wykonał paragraf dziesiąty umowy.*

*— Chodźmy — powiedział Cykucki.*

## **ROZDZIAŁ II**

*Odnalezienie Kłapucha na przerwie nie było jednak proste. Kłapuch należał do najruchliwszych chłopaków w szkole. Nasza klasa była na drugim piętrze, a siódma na parterze. Zwykle zanim zbiegliśmy po schodach na dół, Kłapucha już nie było w klasie. Żeby ustalić jego „aktualne położenie”, należało raczej posłużyć się metodą nasłuchową, jak twierdził Krapulski zwany Krapulem, specjalista i rzeczoznawca w tego rodzaju sprawach. Trzeba było mianowicie zamknąć oczy i nateńczyć uszy. Jeśli wśród zwykłego zgiełku, wrzawy i brzęczenia korytarzowego usłyszysz się coś pośredniego między śmiechem hieny, paniem zachryplego koguta a rzeniem ranionego muła, jest to z pewnością głos Kłapucha. Recepta była, jak widzimy, dość skomplikowana i wymagała sporej dozy wiedzy zoologicznej tudzież absolutnego słuchu. Rychło jednak doszliśmy do*

*wniosku, że jest mniej naukowy, ale bardziej niezawodny sposób na stwierdzenie aktualnego położenia Kłapucha. Po prostu należało nasłuchiwać, kto krzyczy najgłośniej, czy jak wolicie, najbardziej przejmująco.*

*Staliśmy więc przy schodach, gotowi, w razie wykrycia właściwego wrzasku, do biegu w odpowiednim kierunku, przymknęliśmy oczy i nasłuchiwaliśmy. Wierzcie mi, to straszne słuchać tak głosów szkoły, zwłaszcza, jeśli się ma takie delikatne uszy jak moje. Ja w każdym razie nie mogę nasłuchiwać dłużej niż pół minuty, bo zaczyna mnie boleć głowa, w dołku mnie gniecie i nos mi się poci. Za bardzo jestem wrażliwy. Cykucki wytrzymuje dłużej, ale to chyba dlatego, że jak twierdzi pan Fasola, który uczy nas śpiewu, Cykucki ma dębowe ucho.*

*No,*

*ale*

**nic.**

*Zacisnąłem*

*powieki,*

*przygryzłem*

*wargi*

*nastuchiwałem. Najpierw słyszałem tylko jeden wielki szum i brzęczenie jak w ulu, dopiero po paru sekundach, gdy ucho trochę się „wczuło” a raczej „wstuchało”, mogłem odróżnić poszczególne głosy: ryk bawoli Zenona koczownika, wycie Rekszy, pomruk Michała, wodza Piratów, słowiczy krzyk pani woźnej, skrzek Światka Dauera zwanego Stawonogiem... ćwierkanie klas młodszych... Och, znałem te dźwięki na pamięć! Wiedziałem już, że jeśli usłyszę rżenie, to bracia Odjemkowie, jeśli wycie wilcze, to Reksza i koloniści, jeśli zaś da się słyszeć beczenie owcy obdzieranej ze skóry, to na pewno Susuł. Jeśli jednak zagrzmi coś czasem jak grom — to z pewnością pan Kwas. Pan Kargul, prezes komitetu rodzicielskiego, wydaje natomiast tony miękkie, urywane i miłe uchu. Ale nie ryki Zenona, czy nawet wycie Rekszy było najstraszniejsze. Najbardziej nieznośne i niezdrowe dla mego ucha były piski dziewczynek, przesywające aż do głębi czaszki, ostre i klujące jak igielki. Właśnie tuż koło nas przebiegło stado piszczących dziewczynek i w tym momencie nos mi się spocił, a tuzin igiełek pogrążył się w mojej czaszce. Miałem dosyć. Oparłem się o ścianę i zatkałem uszy palcami. Cykucki dzięki dębowemu uchu nastuchiwał jeszcze przez chwilę, marszcząc brwi i krzywiąc się boleśnie, gdyż nawet jego dębowe ucho cierpiało z powodu dziewczęcego pisku, wreszcie odetchnął z ulgą.*

*— Jest! — wykrztusił. — Mam go! Usłyszałem.*

*— Gdzie?*

— *Tam — pokazał gdzieś za siebie.*

— *Oszalałeś? Jak to możliwe?*

— *Dlaczego niemożliwe?*

— *Pokazujesz przecież ścianę.*

*Cykucki dopiero teraz otworzył oczy i zobaczył ze zdziwieniem, że istotnie pokazuje ręką mur.*

— *Zupełnie nic nie rozumiem — wybełkotał — ale tam go słyszałem.*

— *Musisz mieć zaburzenia słuchowe. Przecież tam jest mur.*

— *No, to on jest za murem.*

— *Za murem?*

— *A co ty myślisz, że krzyk Kłapucha nie przebije ściany?*

*Po namyśle stwierdziłem, że to istotnie możliwe, biorąc pod uwagę nadzwyczajne talenty wokalne Kłapucha.*

*Zaczęliśmy się zastanawiać, co może być w tym miejscu za ścianą i wyszło nam, że tam musi być gabinet lekarski.*

*Pospieszaliśmy więc czym prędzej na boczny korytarz w lewym skrzydle budynku, gdzie znajdował się gabinet pani doktor Frędzłowej.*

*Istotnie, dochodziły stamtąd przeraźliwe krzyki podobne do piania zachrypłego koguta i rżenia ranionego muła, a więc niewątpliwie krzyki Kłapucha.*

*Po chwili otworzyły się z trzaskiem drzwi gabinetu i wybiegł z nich osobnik obandażowany od stóp do głów. Tak obandażowanego osobnika widziałem tylko raz w życiu w telewizyjnym filmie pod tytułem „Niewidzialny człowiek”, ale tamten osobnik musiał być cały*

*obandażowany, gdyż inaczej był niewidzialny.*

*W takim stanie rzeczy oczywiście byłoby nie sposób zorientować się, z kim mamy do czynienia, na szczęście biedaczysko wyleciał z gabinetu z takim rozpędem, że zderzył się z Cykuckim.*

*— Uważaj, mały — krzyknął. — Nie widzisz, że mam świeży gips?!*

*A że krzyknął sobie zdrowo, na całe gardło, więc nie było już wątpliwości, że dębowe ucho nie zawiodło Cykuckiego i że w osobie zabandażowanego delikwenta mamy do czynienia z autentycznym kapitanem drużyny hokeja na lodzie.*

*— Kłapuch, co z tobą? — zapytaliśmy niespokojnie. — Złamałeś rękę?*

*— Złamałem gips.*

*— Nie rozumiem — spojrzałem na niego zdziwiony.*

*— To proste. Miałem gips na rękę i Reksza mi stłukł.*

*— A te bandażę?*

*— To pani doktor... Tak okropnie krzychałem, że się wystraszyła i zabandażowała mnie całego na wszelki wypadek. Zdaje się, że za bardzo krzychałem, ale tak trudno utrafić...*

*— A czy w ogóle musiałeś krzyżeć?*

*— Musiałem. Inaczej pani doktor pomyślałaby, że nic mi się nie stało, albo jeszcze gorzej — że moja ręka jest już zdrowa i nie założyłaby mi*

**nowego gipsu.**

— *Nic nie rozumiem — powiedział wciąż zdezorientowany Cykucki. —*

*Kiedy ty zdążyłeś złamać rękę? Ostatnio miałeś tylko guzy.*

— *Niestety, złamałem także rękę. Przedwczoraj, jeśli to was interesuje — rzekł Kłapuch patrząc gdzieś na ścianę.*

— *Przedwczoraj Kwas wrócił do szkoły — zauważyłem.*

— *Tak się nieszczęśliwie złożyło — chrząknął Kłapuch.*

— *To przykre — powiedziałem.*

— *Nie takie znowu — odparł Kłapuch — nie piszę za to klasówek.*

*Spojrzeliliśmy po sobie.*

— *My właśnie do kolegi też w sprawie klasówki... — zaczął Cykucki.*

— *Grozi wam? — zapytał Kłapuch.*

— *Tak, z matmy.*

— *Współczuję — powiedział Kłapuch.*

— *I co?*

— *Nic. Współczuję.*

— *Tylko tyle? — Cykucki poruszył się niespokojnie.*

— *Nie bardzo kolegów rozumiem — bąknął Kłapuch.*

— *Współczucie nas nie urządza — powiedziałem. — Nadszedł czas działania dla kolegi.*

*Kłapuch znieruchomiał, a spod bandaża spojrzało na nas jego czujne wylupiaste oko.*

— *Ja naprawdę nie bardzo rozumiem kolegów. A właściwie, z kim*



*mam przyjemność?*

*Cykuckiemu wyraźnie zrzędła mina.*

*— Jak to? Kolega mnie nie poznaje?*

*— Zaraz... kolega nazywa się Beksa.*

*Cykucki spojrzął na mnie i westchnął. Istotnie zanik pamięci u*

*Kłapucha był nader żaloszny.*

*— Jestem Cykucki — powiedział ponuro.*

*— Co? Kucki? — zapytał Kłapuch, zdradzając w dodatku jakby zanik słuchu.*

*— Cykucki.*

*— Aha... trzy kucki. Ale czemu kolega sepleni?*

*— Ja nie seplenię — zasapał Cykucki — ale tak się nazywam: Cykucki.*

*Mówią na mnie także „Cykuś” — chrząknął wstydliwie. — Cykuś, czy to koledze coś mówi?*

*— Kicuś? Nie, nie słyszałem. To zajaczek?*

*Cykucki zatrzęsł się i spojrzął na mnie ze wzburzeniem, biorąc mnie za świadka swoich udręk.*

*— Pokaż umowę — szepnąłem. — Może widok umowy przywróci biedakowi pamięć.*

*Cykucki drżącą ręką wy dostał z kieszeni zwinięty w trąbkę brulion, a z brulionu umowę sportową. Chciał ją w pierwszej chwili wręczyć*

*Kłapuchowi, ale zorientował się, że Kłapuch ma kończynę w gipsie, więc podsunął mu dokument pod nos.*

*— Co to jest? — zapytał Kłapuch, jakby pierwszy raz widział ten*

**papier.**

— *Umowa sportowa. Sam ją podpisałeś.*

— *A rzeczywiście.*

— *Jak mogłeś zapomnieć o tak ważnym dokumencie?!*

— *To z pewnością z powodu kontuzji — westchnął Kłapuch.*

— *Tam są wyliczone wasze obowiązki względem bramkarzy.*

— *Tak, widzę... ale wciąż nie wiem, o co kolegom chodzi. Czy o strój ochronny?*

— *Nie.*

— *Ktoś was bił? Zaraz się z nim porachuję.*

— *Nie.*

— *A może ktoś obraził, nazywając „małym”, „mikrusem”, „szczeniakiem”, „smarkaczem”, „pędrakiem” albo „pętakiem”? Zaraz się z takim rozprawię.*

— *Nie.*

— *Więc o kielbasę, o sok?*

— *Nie. Chodzi nam o paragraf dziesiąty.*

— *Aha, „zabezpieczyć przed gogami, a zwłaszcza przed Kwasem”.*

— *Tak, o to właśnie nam chodzi. Czy kolega gotów jest wypełnić ten punkt?*

*Kłapuch chrząknął i poprawił nerwowo bandaż.*

— *Oczywiście, za kogo koledzy mnie mają — wypiął z godnością pierś*

— *umowa to umowa. Czego sobie koledzy konkretnie życzą?*

— *Za trzy dni mamy klasówkę na temat pociągów jadących*

**naprzeciw siebie...**

*— O rany?! Kiedy się zderzą?! — podniecił się Kłapuch — macie*

## **morowe zadania.**

— *Nie, kiedy się miną — powiedziałem.*

— *Ech, to nic ciekawego — Kłapuch stracił całe zainteresowanie — myślałem, że one jadą po jednym torze.*

*Zacisnęliśmy zęby.*

— *Słuchaj, Kłapuch — rzekł ostro Cykucki — nas nie obchodzi, czy to ciebie interesuje czy nie. Podpisałeś umowę i musisz nas przygotować z tych zadań, bo my ani me, ani be. Rozumiesz, że to są okropne zadania. Te zadania na drogę, czas i prędkość, to są paskudne zadania.*

— *I na ułamki — dodałem jak najbardziej ponuro — to będzie także na ułamki.*

— *Na ułamki? — Kłapuch poskrobał się w bandaż na głowie... i spojrzał na nas jakoś dziwnie.*

— *Co się tak patrzysz? — zapytał zdenerwowany Cykucki — chcesz się może wymigać?*

— *Skądże znowu — jęknął Kłapuch — tylko... tylko widzisz, Kicuś, ja... ja uczę się teraz innych rzeczy, o tych ułamkach to ja uczyłem się w zeszłym roku.*

— *Ale chyba pamiętasz jeszcze — zaniepokoiłem się nie na żarty.*

*Kłapuch odsunął bandaż z twarzy. Poskrobał się po szczęce. Miał bardzo zbolalą minę.*

— *No pewnie, że zapamiętałem... Ho, ho, bracie, ułamki to była moja specjalność. Ale tylko do siedemnastego lutego.*

— *Do siedemnastego?! — wykrzyknęliśmy. — Jak to? I tak nagle*

*zapomniałeś?! Żarty sobie z nas stroisz!*

— *Bo siedemnastego uległem kontuzji. Reksza uderzył mnie w głowę.*

*Chyba pamiętasz, Kicus? Sam przecież rozcierałeś mojego guza. To był największy guz w dziejach szkoły. Miałem więc prawo zapomnieć, jeśli zapomniałem nawet twojego pięknego nazwiska.*

*Ręce nam opadły.*

— *No więc co będzie z naszą klasówką? — jęknął Cykucki. — Czy ta umowa, to świstek papieru? A ja ci tak wierzyłem! Mówiłeś, przysięgałeś, że matma jest waszą życiową pasją i że wzruszaliście Kwasa swoją wiedzą do tego stopnia, iż zapominał wam zadawać do domu.*

— *Och, uspokój się, Kicus — Kłapuch spojrział na Cykuckiego z zakłopotaniem — matematyka jest naprawdę naszą pasją. Zapominasz, że nasza drużyna liczy dwunastu członków i na pewno znajdzie się ktoś, kto zapamiętał o ułamkach i pociągach jadących naprzeciwko. Na przykład choćby taki Rosolnik... Nie — zawahał się nagle — zapomniałem, że Rosolnik przeżywa teraz kryzys i jest pogrążony w melancholii, czyli czarnym smutku. Koledzy rozumieją, sezon się kończy... odwilż tak działa na Rosolnika, bo my nie mamy sztucznego lodowiska... to jeszcze potrwa, zanim przyjdzie do siebie. Czy koledzy chcieliby szybko?...*

— *Jak najszybciej.*

— *W takim razie uderzymy do Józia Rączki.*

*Niestety w tym momencie zabrzączał dzwonek na lekcję.*

— *Uderzymy na następnej przerwie — powiedział Kłapuch.*

— *Ale gdzie cię znaleźć? Żebyś znów nie zniknął!*

— *A nie... możecie się nie bać* — krzyknął zbiegając po schodach —  
*poznacie mnie po bandażach. Szukajcie tylko białej głowy.*

*Niestety, mimo że całą następną przerwę wypatrywaliśmy oczy,  
mimo że przemierzaliśmy wszystkie piętra i korytarze szkoły, nigdzie nie  
natrafiliśmy na białą głowę. Kłapuch przepadł gdzieś jak kamień w wodę.*

*Nie pomogła także metoda nasłuchu.*

— *Kryje się, łobuz* — mruknął Cykucki.

— *No i widzisz, co warte są umowy* — westchnąłem rozgoryczony. —

*Na przyszłość zastanów się, z kim zawierasz umowę. Po prostu cię  
wykiwał.*

— *Och, on mi się nie wykręci* — zacisnął zęby Cykucki.

— *Co mu zrobisz?*

— *Zobaczysz. Przyjdź jutro do szkoły za dziesięć ósma. Spotkamy się  
przed bramą.*

### **ROZDZIAŁ III**

*Bardzo byłem ciekaw, co Cykucki zrobi Kłapuchowi i nazajutrz  
stawiłem się o umówionej godzinie przed bramą szkoły.*

— *Poczekamy tu na niego* — powiedział Zbyszek — *zaraz wpadnie w  
nasze ręce.*

— *No i co zrobisz, jak wpadnie?*

*Cykucki uśmiechnął się pod nosem. W oczach miał niebezpieczne  
błyski.*

— *Nie będę się z nim cackał* — powiedział. — *Po pierwsze powiem mu,*

*że jak się będzie wykręcał, to napiszę o tym do gazetki ściennej.*

*— Oszalałeś? Jak można pisać takie rzeczy! O ubezpieczeniu napiszesz? O Kwasiu?!*

*— Napiszę! Niech będzie, co chce! Ale wszyscy się dowiedzą, jaki z Kłapucha kanciarz.*

*— Rozpacz cię zaślepia — powiedziałem. — Ja się na to nigdy nie zgodzę. Ładnie byśmy wyglądali. Czy ty nie rozumiesz, że ta umowa... no, ten dziesiąty paragraf, to on... on jest niezupełnie w porządku. On jest nie... nielegalny. Jakby się dowiedzieli, żeśmy zawarli taką umowę, to by była straszna draka.*

*— A niechby była. Ale Kłapuch dostałby za swoje.*

*— Głupi. Nic by nie dostał. To my byśmy dostali. On by powiedział, że on nie chciał wstawić tego punktu, ale że ty go zmusiłeś, że nie chciałeś inaczej... I że on dlatego nie wypełnił umowy z tego paragrafu, bo to byłoby oszukiwanie Kwasa.*

*— Oszukiwanie? — Cykucki wzruszył ramionami.*

*— No... wiesz... ściągaczki...*

*— Ja bym wcale nie napisał o ściągaczkach. Napisałbym tylko, że Kłapuch nie chciał nas podciągnąć z matmy. Podciągać chyba wolno, nie?*

*— To nieważne, co byś ty napisał. Ważne, jak broniłby się Kłapuch. A Kłapuch powiedziałby, że pod „ubezpieczeniem” ty rozumiałeś ściągaczki.*

*Że zażądałeś od niego. A co, może nie żądałeś?*

*— No nic — Cykucki zawahał się — w każdym razie ja mu zagrozę.*

*Zagrozić można, nie? A jak go to nie przestraszy, to mam na niego jeszcze*



*dwa sposoby. Ja to wszystko obmyśliłem.*

— *Jakie sposoby?*

— *Najpierw zastaw. Zapomniałeś o zastawie. Powiem mu, że narty przechodzą na moją własność.*

— *Na twoją? Dlaczego na twoją? A na moją nie?*

— *Przepraszam. Na naszą własność. To go chyba powinno przestraszyć.*

— *Wątpię — pokręciłem głową — te narty są strasznie sfatygowane.*

*Wiązania odlatują, kanty zdarte. Jemu wcale nie będzie zależeć na tych nartach. Dostał na gwiazdkę nowe. Plastik.*

— *No to ja mam na niego jeszcze drugi sposób — powiedział.*

— *Jaki?*

*Cykucki ściszył głos.*

— *Czy ty wierzysz w jego rękę?*

— *Jak to w rękę?*

— *W jego złamaną rękę?*

*Spojrzałem na Cykuckiego zaskoczony.*

— *Myślisz, że on...*

*Cykucki skinął głową.*

— *Dwa dni temu widziałem jak Kłapuch i Bulwieć wychodzili ze spółdzielni z dużym ciężkim workiem. I byli poproszeni jakimś białym proszkiem. To był na pewno gips. Następnego dnia obaj nie przyszli do szkoły. Wczoraj widzieliśmy ich z zagipsowanymi rękami. Gdzieś nagle złamali ręce. Bardzo dziwna historia.*

— *Myślisz, że oni sami się zagipsowali? — zapytałem wstrząśnięty.*

— *Tak myślę — odparł. — Ładna afera, co? Wyobrażasz sobie, co było w domu, jak oni przyszli z rękami w gipsie i powiedzieli, że to na skutek wypadku i że pogotowie ich opatrzyło. Biedni rodzice. Taki wstrząs! Gdybym więc powiedział...*

— *Cicho! — przerwałem mu, bo właśnie na drodze do szkoły pojawił się Kłapuch.*

*Dosłownie w ostatniej chwili go poznałem, ponieważ jego wygląd znowu zmienił się zasadniczo. Nie miał nigdzie żadnego bandażu, a kiedy wyjął rękę z kieszeni, zauważyliśmy, że gips zniknął bez śladu. Ale najbardziej nas zdziwiło, że wcale nie wydawał się zakłopotany tym, bądź co bądź chyba nieprzyjemnym dla niego, spotkaniem. Przeciwnie, uśmiechał się pod nosem swoim zwykłym, nieco szelmowskim uśmiechem i mrugnął do nas porozumiewawczo okiem.*

— *Cześć! — powiedział wyciągając rękę. — No i co? Wciąż jeszcze chcecie ubezpieczyć się od matmy?*

*Baliśmy się uścisnąć mu rękę. Cykucki już wyciągnął dłoń i nagle ją cofnął. Ja to samo. Strasznie jakoś głupio się poczuliśmy. Niby nie wierzyliśmy w tę jego rękę, ale zawsze głupio nam było. Przyglądaliśmy się jej w zakłopotaniu.*

*Kłapuch zarżał rozbawiony i poruszył palcami dla zabawy.*

— *Nie bójcie się. Już zdrowa.*

— *Tak szybko wyzdrowiała?*

— *Ja mam taką odporną kość.*

*Cykucki przygryzł wargi.*

*— Słuchaj no, Kłapuch, nie myśl, że się wykręcisz. Szukaliśmy cię wczoraj przez całą pauzę. Gdzie się schowałeś? Tylko nie próbuj nas kiwać, ja mam na ciebie sposoby. Więc mów, jak to było?*

*Kłapuch roześmiał się.*

*— Och, nie pytajcie lepiej. Straszne rzeczy się zdarzyły. Jak pani Szycka zobaczyła mnie całego w bandażach, okropnie się przerażyła. Ona ma słabe serce. Chciała wezwać pogotowie ratunkowe, więc wtedy ja się z kolei przerażiłem i szybko rozkręciłem się z bandaży. I pokazałem, że nic mi nie jest, tylko pani doktor Frędzłowa jest przeczulona. Ale to jeszcze nie koniec. Okazało się, że nic nie przesadziłem, jak mówiłem, że pani doktor Frędzłowa jest przeczulona, bo moja ręka w gipsie nie dawała jej spokoju i zabrała mnie z lekcji na prześwietlenie. Tam się okazało, że nie mam żadnego złamania. Widzicie... lekarze są omylni... No więc wybuchła awantura, kto mi zakładał gips.*

*— My wiemy, kto ci zakładał gips — powiedział ponuro Cykucki.*

*Kłapuch zmieształ się.*

*— Zaraz... o czym to myśmy mówili? O matmie... — zmienił szybko temat. — Więc jeśli chodzi o matmę...*

*— Miałeś nas zaprowadzić do Józia Rączki — dokończył Cykucki — i biada ci, jeśli tego nie uczynisz. Pamiętaj, że my wiemy, kto ci założył gips.*

*Kłapuch skrzywił się z jakąś goryczą na wspomnienie o gipsie.*

*— Oczywiście, że was zaprowadzę. Nie wiem tylko, czy już przyszedł do budy. On zawsze się spóźnia. Ale to fenomenalny Józio. Zobaczycie.*

*Niestety okazało się, że fenomenalny Józio nie przyszedł jeszcze do szkoły. Przyłapaliśmy go dopiero na pierwszej przerwie. Suto oblepiony plastrami opatrunkowymi, wygrzewał swoje kontuzje w marcowym słońku na parapecie okiennym. Jego leniwy wzrok błędził po resztkach topniejącego śniegu w ogródku szkolnym.*

*— Rączka — powiedział głośno Kłapuch — tu są koledzy bramkarze.*

*Ale Józio nawet się nie poruszył. Jakaś przebudzona mucha zaczęła za to brzęczeć niemożliwie na szybie. Kłapuch zdjął zdenerwowany muchę i wpuścił Józiovi do ucha. Był to zabieg odrażający, ale jak się okazało skuteczny. Rączka poruszył małżowiną, potem włożył palec do ucha i pokręcił w nim ospale trzy razy, wreszcie odwrócił się do nas.*

*— Czego chcecie?*

*— Słuchaj, Rączka — powiedział Kłapuch. — Poznajesz chyba tych chłopaków, to są nasi bramkarze. Na podstawie umowy sportowej masz sporządzić dla nich ściągaczki z matmy i w ogóle wtajemniczyć ich w zawikłane sprawy pociągów jadących naprzeciw...*

*Rączka pokręcił w zwolnionym tempie głową.*

*— To nie moja specjalność. Moją specjalnością są gąsiory.*

*Spojrzeliliśmy po sobie z Cykuckim.*

*— Gąsiory? Jakie znów gąsiory?*

*— Gąsiory z kwasem i bułeczki.*

*— To bardzo wąska specjalność — zauważyłem gorzko.*

*Fenomenalny Józio wzruszył ramionami.*

— *Nic na to nie poradzę. Tylko to zapamiętałem.*

— *Ciekawe — skrzywił się Cykucki — dlaczego kolega zapamiętał akurat o gąsiorach?*

— *Bo jak byłem w waszej klasie, dostałem z tego zadania bombę, czyli ende, i dlatego utkwilo mi w pamięci. To chyba naturalne.*

— *Tak, bardzo naturalne, ale nie rozumiem, po co Kłapuch prowadził*

**nas do kolegi.**

— *Pewnie mu się pomyliło z Bulwieciem. Przypominam sobie, że Bulwieć, zwany popularnie Indykiem, miał coś wspólnego z pociągami... tak, nawet na pewno. Zresztą on ma w ogóle matematykę w małym palcu lewej nogi. To najcięższa głowa zespołu.*

*Bulwiecia, zwanego także Indorem, niezwykle zresztą trafnie z uwagi na czerwoną cerę, bulgotliwą mowę i skłonność do rozindyczenia się, zastaliśmy w mrocznym kącie korytarza.*

*Właśnie „turbował” jakiegoś malca z trzeciej klasy i oczywiście był rozindyczony. Długi biały bandaż zwisał mu z szyi aż do samej podłogi i kłębił się jeszcze na podłodze. Bulwieć jedną ręką tarmosił malca, a drugą okręcał sobie bandaż dookoła szyi.*

— *Dyku! — Kłapuch poklepał po ramieniu Bulwiecia. — Co ty wyrabiasz?*

— *Nic, tylko pędrak zaplątał mi się w bandaż, kiedy się prze-ban-da-żo-wy-wa-łem, tak, że zanim się wyplątał, to ja się znów zaplątałem.*

— *To bardzo skomplikowane, ale czy nie mógłbyś przestać na chwilę?*

# **Mamy do ciebie interes.**

— *Zaczekaj, przecież widzisz, że się wyplątuję.*

— *Widzę, że jesteś już wyplątany, a teraz okładasz pędraka zagipsowaną kończyną.*

— *Chyba mam prawo być zdenerwowany — powiedział Bulwieć zwany Indykiem — chyba mam prawo być zdenerwowany, a nawet rozindyczony, skoro ten pędrak nadepnął na mój czysty bandaż. Czy uważasz, że moje rozindyczenie jest niestuszne?*

— *Oczywiście, że twoje rozindyczenie jest słuszne — odparł Kłapuch*

— *ale czy nie mógłbyś opanować się choć na chwilę, Dyku?*

— *Po co mam się opanowywać? — zabalgotał Bulwieć i zabrał się z powrotem do „turbowania” mikrusa.*

*Patrzyliśmy ze wstrętem i oburzeniem na tę scenę.*

— *On go naprawdę poturbuje! — wykrzyknąłem i wraz z Cykuckim chciałem rzucić się na pomoc mikrusowi, ale Kłapuch powstrzymał mnie gwałtownie:*

— *Nie, nie w ten sposób — szepnął. — To by go jeszcze bardziej rozindyczyło. Z nim trzeba inaczej.*

— *Dyku! — poklepał złośnika po ramieniu.*

— *Odczep się! — zabalgotał Bulwieć.*

— *Chciałem ci tylko coś powiedzieć.*

— *Co?*

— *Uszkodzisz sobie gips.*

*Bulwieć spojrział na zagipsowaną rękę i puścił mikrusa. Pędrak*

*czmychnął od razu.*

*— Rzeczywiście — mruknął Bulwieć — stale zapominam, że mam*

*gips. Dziękuję ci, że mi przypomniałeś.*

*— No, widzisz — powiedział Kłapuch. — Musisz bardziej uważać. Gips*

*jest kruchy. Wystarczy, że ja sobie popsulem. Jak będzie nam się zbyt*

*często psuł gips, to może to wzbudzić pewne podejrzenia i gotowi są nas*

*prześwietlić.*

*— Nie strasz mnie — przeląkł się Bulwieć i zaczął oglądać sobie rękę.*

*— Zdaje się, że już mi pękło.*

*— A w ogóle — zauważyłem — czy ciebie nie bolało tak okładać*

*pędraka, przecież masz złamaną kończynę.*

*Bulwieć zmieszał się.*

*— No pewnie, że mnie bolało, ale ja... ja opanowywałem ból siłą woli.*

*Prawda, Kłapuch, że ja mam bardzo silną wolę?*

*— Tak, Dyk jest z tego znany — potwierdził Kłapuch.*

*Cykucki i ja uśmiechnęliśmy się szyderczo, ale na szczęście Bulwieć*

*nie zauważył tego szyderczego uśmiechu, bo zajęty był polerowaniem*

*swojego gipsu za pomocą rękawa marynarki.*

*— Dyku — rzekł Kłapuch — odłóż na razie polerowanie gipsu i*

*posłuchaj. Potrzebujemy twojej matematycznej wiedzy.*

*— Mojej wiedzy? — zdumiał się Bulwieć.*

*— Zgodnie z paragrafem dziesiątym umowy sportowej musisz pomóc*

*naszym bramkarzom i przelać w nich dwie krople z pełnego kubła twej*



*mądrości. Krótko mówiąc, chodzi o sprawę dwu obrzydliwych pociągów, które mają się wyminąć ku szczeremu zmartwieniu chłopców.*

*— Pociągi?! — wykrzyknął Bulwieć — to niemożliwe! Tylko nie pociągi! — zabalgotał przerażony.*

*Wszystkim trzem zrobiło nam się bardzo nieprzyjemnie.*

*— Jak to, Dyku — wymamrotał Kłapuch. — Masz przecież matkę w małym palcu i do tego w małym palcu u nogi.*

*— No... nie przesadzaj — chrząknął Bulwieć z fałszywą skromnością*

*— nie można mówić aż o nodze. Mam matkę w małym palcu lewej ręki, a ściślej za paznokciem tego palca. — To mówiąc poruszył odnośnym palcem, a nam znów zrobiło się nieprzyjemnie, zauważyliśmy, że Bulwieć*

**ma brud za paznokciem.**

— *No, w każdym razie masz w palcu* — powiedział zdenerwowany

*Kłapuch* — *więc dlaczego się bronisz?*

— *Mam wstręt do pociągów* — *zabulgotał Bulwieć.*

— *Jak to wstręt?* — *zapytałem.*

— *To przykra historia* — *mruknął Bulwieć.* — *Nie wiem, czy mnie*

*zrozumiecie... Kiedyś jechałem pociągiem na gapę i... i zostałem*

*zdemaskowany... to jest, chciałem powiedzieć, odkryty na półce, gdzie się*

*schowałem, przez wścibskich kolejarzy. Od tego czasu nabrałem*

*niewypowiedzianego wstrętu do pociągów...*

— *To zupełnie zrozumiałe* — *powiedział Kłapuch.*

*Wymieniliśmy z Cykuckim pełne niepokoju spojrzenia. Nasza*

*cierpliwość też miała swoje granice.*

— *Ty, Kłapuch!* — *wykrztusił wreszcie Cykucki.* — *Dosyć tej komedii!*

— *Komedii?* — *Kłapuch zamrugał śmiesznie oczami.*

— *My sobie wypraszamy coś takiego... Nie myśl, że wam się uda*

*zrobić z nas balona.*

— *Balona? Co on mówi?!* — *zaśmiał się Kłapuch.* — *Jakże byśmy*

*mogli robić balona z tak doskonałych bramkarzy.*

— *Za kogo nas macie, za przedszkolaków? To jest... to jest świństwo,*

*tak, świństwo! Udawaliście świetnych matematyków i mędrców! Najpierw*

*jakiś fenomenalny Józio, który, jak się okazuje, zna tylko zadania o*

*gąsiorach, potem Bulwieć-Indyk, który ma niby matkę w małym palcu,*

*tylko, że akurat nabrał wstrętu do pociągów. Myślisz, że ja w to uwierzę?!*

*Po prostu chcecie się wykić, ale to wam nic ujdzie na sucho! Oszuści!*

*Chodź, Jarek! — pociągnął mnie.*

*— Co mu się stało?! — Kłapuch zdziwił się nieszczerze. — Czego on tak wrzeszczy?*

*— Jeszcze się pytasz?! — zawołałem wzburzony. — On wrzeszczy, bo go zawiedliście. To straszne zawieść tak nadzieje człowieka, który... który wyzwiał Kwasa.*

*— Wyzwał? Jak to wyzwiał?! — wykrzyknął Kłapuch.*

*— Rzucił wyzwanie Kwasowi! Kiedy Kwas ogłosił klasówkę i na wszystkich padł blady strach, jeden Cykuś się nie zląkł i zapowiedział, że napisze klasówkę na piątkę.*

*— Szaleniec! — wykrzyknęli Kłapuch i Bulwieć. — Jak można było odważyć się na coś takiego. To jest szczeniackie — dodał Kłapuch.*

*— Szczeniackie? — oburzyłem się. — Jeszcze nam ubliżasz. Skandal!*

*— To znaczy... chciałem powiedzieć „niedojrzałe” — poprawił się Kłapuch. — Cykuś jest niedojrzały.*

*— O, z pewnością niedojrzały — mówiłem z gorzkim szyderstwem. —*

*Tylko bardzo niedojrzały i naiwny chłopak mógł uwierzyć w umowę sportową z takimi typami jak wy. Chodź, Cykuś! — powiedziałem. —*

*Chociaż wypijałeś mój sok i objadałeś mnie niegodnie z kielbasy, nie opuszczę cię w nieszczęściu. Pójdziemy wkuwać, może jeszcze coś wkujemy. Beksa nam pomoże. Chodźmy!*

*— Chodźmy! — jęknął przez łzy Cykucki. — Chodźmy od tych*

*niegodziwców. Nadstawialiśmy za nich pierś! Zbolałym ciałem bohatersko  
rzucaliśmy się na bramkę, a oni... Boże, gdybym wiedział, z kim mam do  
czynienia! Ale czy mogłem wiedzieć, że dostałem się w ręce oszustów?*

*Jestem jeszcze bardzo młodym człowiekiem.*

*Kłapuch i Bulwieć słuchali nas zakłopotani.*

*— Słuchaj, Kłapuch — warknął wreszcie Bulwieć. — Zdaje się, że oni  
nas obrażają. Czuję, że się za chwilę rozindyczę!*

*— Nie rozindyczaj się — uspokoił go Kłapuch. — Gorycz przez nich*

**przemawia.**

*Widząc zaś, że naprawdę mamy szczerzy zamiar odejść, powiedział:*

*— Nie odchodźcie. Przebaczamy wam wszystko.*

*— Coś takiego! — zawołałem. — Słuchaj, Cykuś, oni nam łaskawie przebaczą!*

*Wyprostowaliśmy się z godnością i sztywno ruszyliśmy przed siebie.*

*— Czekajcie! — Kłapuch i Bulwieć rzucili się za nami. — Nie znacie się na żartach.*

*Nie zwracając na nich uwagi szliśmy dalej przed siebie z bardzo wielką godnością.*

*— Łap ich, Dyku — krzyknął Kłapuch — bo gotowi narobić plotek, że ich naprawdę nabraliśmy.*

*Zwolniliśmy nieco kroku i pozwoliliśmy się dopędzić przez*

# Bulwiecia.

— *Słuchajcie* — chrząknął z bardzo oficjalną miną Kłapuch. —

*Słuchajcie i nie bądźcie dziećmi. My naprawdę umieliśmy matematykę, kiedy zawieraliśmy tę umowę i w ogóle nie może być mowy o nabieraniu, tylko rozumiecie... w ostatnich miesiącach musieliśmy poświęcić się całkowicie wielkiej idei olimpijskiej i chwilowo jesteśmy jeszcze nie na chodzie... to znaczy nie na chodzie matematycznym. Musimy się dopiero przestawić z torów olimpijskich na tory szkolne. Koledzy rozumieją, że to musi potrwać.*

— *Każdy trening wymaga czasu* — zbulgotał Bulwieć. *Na razie jesteśmy, że się tak wyrażę, przetrenowani sportowo, a niedotrenowani matematycznie. Ale najdalej za tydzień odzyskamy formę i wtedy...*

— *Dziękujemy za łaskę* — powiedział Cykucki. — *Za tydzień będziemy już tak rozkwaszeni przez Kwasa, że nic nam nie pomoże. My potrzebujemy ściągaczek natychmiast, a jeśli nam ich nie dacie, to znaczy, że umowa z wami warta jest tyle, co świstek papieru.*

— *Bardzo przepraszam kolegów* — rzekł oficjalnym tonem Kłapuch — *ale w paragrafie dziesiątym umowy wcale nie jest powiedziane, że mamy uczyć kolegów, a już zupełnie nie jest powiedziane, że mamy kolegom dostarczać ściągaczek, proszę niech koledzy dobrze się przypatrzą umowie, tam jest powiedziane, że mamy kolegów zabezpieczyć przed gogami, a zwłaszcza przed Kwasem.*

— *No więc?*

— *No więc zabezpieczymy was.*

— *Ale jak?*

— *Za pomocą gipsu i bandaży — uśmiechnął się Kłapuch. — Ja sam byłem tak zabezpieczony do wczoraj i byłbym nadal zabezpieczony, gdyby nie nieszczęśliwy zbieg okoliczności, o którym wam już wspomniałem. Ale tu obecny kolega Indyk jest w dalszym ciągu tak zabezpieczony i dobrze się czuje. Prawda, że dobrze się czujesz, Dyku? — Kłapuch przytknął Bulwiecia w zagipsowaną kończynę.*

— *Czuję się wyśmienicie — zabalgotał Bulwieć.*

*Staliśmy  
oszolomieni.*

**Tego**

*się*



**nie**

*spodziewaliśmy.*

# Nie

*wiedzieliśmy, czy zgodzić się na gipsowanie. Był to zabieg bądź co bądź ryzykowny. Ale nie widzieliśmy innego wyjścia, na samą myśl o klasówce skóra nam cierpła. Tak, już lepiej dać się zagipsować, niż pisać tę okropną klasówkę.*

*— No, dobrze — bąknął wreszcie niepewnym głosem Cykucki — ale jak to zrobić? Nie mamy ani gipsu, ani wprawy...*

*— Niech was o to głowa nie boli — poklepał nas po łopatkach*

*Kłapuch. — Zorganizujemy wam to wszystko. Jutro zgłosicie się u kolegi*

# Rosolnika.

— *Mówiłeś, że Rosolnik jest pogrążony w czarnym smutku, czyli w melancholii — zauważyłem. — Myślisz, że on będzie zdolny?*

— *O, na pewno. To go trochę rozerwie. Zresztą gipsowanie kończyn, jako zabieg smutny, doskonale pasuje do jego nastroju.*

\* \* \*

*Resztę dnia spędziliśmy w ponurej rozterce. Nie byliśmy wciąż przekonani, czy dobrze zrobiliśmy, zgadzając się na gipsowanie, a nawet, kto by pomyślał, zaczęły nas dręczyć wyrzuty sumienia. Z początku myślałem, że tylko ja mam takie delikatne sumienie i próbowałem się uspokajać, że jestem po prostu przewrażliwiony i że to nic znowu straszego udać, że się złamało rękę, przecież chłopaki z siódmej prawie wszyscy są w pewnym sensie zagipsowani i czują się wyśmienicie, jak nas zapewniał Indyk, ale po obiedzie przyszedł do mnie Cykucki i wyznał wstydliwie, że on też ma wyrzuty sumienia. To mnie bardzo zaniepokoiło, bo jeśli nawet taki Cykucki ma wyrzuty sumienia, to widocznie coś w tym*

**jest...**

*Doszło w końcu do tego, że wyjąłem książkę do arytmetyki i zaczęliśmy razem z Cykuckim wkuwać ułamki i próbować rozszyfrować nieszczęsne zadania o pociągach, ale nic nam nie wychodziło, a w dodatku rozboleły nas głowy. W tej sytuacji nie było innej rady. Nazajutrz, jak skazańcy, z niewyraźnymi minami, zgłosiliśmy się u Rosolnika do*

## **zagipsowania.**

*Odnaleźliśmy go w pracowni geograficznej, pochylonego nad mapą plastyczną Europy. Usmarowany gipsem dlubał w okolicy Alp, o ile mogliśmy się zorientować. Nie zwrócił na nas zupełnie uwagi i nie przerwał zajęcia, mimo że chrząknęliśmy dość głośno i wyraźnie.*

*— Co kolega robi? — zapytał wreszcie Cykucki, żeby jakoś nawiązać rozmowę.*

# Rosolnik

*podniósł*

*na*

*nas*

*usmarowane*

*oblicze*

*i*

**wtedy**

*stwierdził, że nie było ani trochę przesady w tym, co mówił Kłapuch o melancholii Rosolnika. Patrzyły na nas bardzo smutne oczy, a raczej jedno oko, ponieważ drugie było tak podbite i oklejone leukoplastem, że widać było tylko kawałek powieki.*

*— A, to wy — rzekł zbolalym głosem. — Przyszedliście umówić się na mecz? Mecz nie będzie. Już wszystko skończone.*

*— Jak to? — zaniepokoił się nie na żarty. — Czy Kłapuch nic ci nie mówił, że my przyjdziemy i że...*

*Ale Rosolnik jakby nie rozumiał, co się do niego mówi.*

*— Koniec Olimpiady, koniec wrażeń. Cóż nam zostało? Gips i bandaże. Razem ze zgaszonym zniczem zgasłem i ja — jestem niczym — wymamrotał, a my spojrzeliśmy na niego przerażeni. Doprawdy melancholia poczyniła u niego zatrważające postępy. Czyżby został w dodatku poetą?*

*— Tak, jestem już niczym — westchnął — i, jak widzicie, zajmuję się reperacją gór. Pan Barton kazał mi za karę ulepić nowy Mont Blanc, bo stary się wykruszył. Oto na co mi przyszło, mnie, czołowemu napastnikowi drużyny!*

*— Słyszeliśmy, że zajmujesz się także gipsowaniem kończyn — zauważył Cykucki.*

*— Owszem, uprawiam także tę nielegalną działalność w ramach czynu społecznego — przyznał smutnym głosem.*

— *My... my właśnie w tej sprawie* — wykrztusił *Cykucki* — *czy*

*Kłapuch* *nic ci nie mówił, że przyjdziemy?*

*Rosolnik* *zmarszczył brwi.*

— *Możliwe, że mi coś mówił. Więc i wy, nieboracy?...*

— *Tak* — *pociągnął nosem Cykucki* — *i my, nieboracy...*

*Rosolnik* *potrząsnął smutno głową.*

— *Za późno.*

— *Co to znaczy „za późno”?* — *zapytaliśmy niespokojnie.*

— *Gips już nie pomaga.*

— *Dlaczego?*

*Rosolnik* *uśmiechnął się krzywo.*

— *Od dzisiaj zagipsowani nie będą zwalniani od klasówek. Muszą pisać jak wszyscy.*

— *Co takiego?!* — *wykrzyknęliśmy.* — *To chyba niemożliwe.*

— *Niestety, okazało się, że to możliwe.*

— *Nie chcesz chyba powiedzieć, że... że gogowie wszystko odkryli i że zagipsowani zostali zdemaskowani?*

— *Nie, na szczęście nie doszło jeszcze do tego, ale został wynaleziony sposób, żeby pisać klasówki, nawet jeśli się ma zagipsowaną rękę.*

— *Jaki sposób?*

— *Przeczytajcie sobie na tablicy ogłoszeń szkolnych.*

— *Bujasz!* — *spojrzeliśmy na niego podejrzliwie.* — *Znowu się wykręcacie.*

— *Nie, moi drodzy* — *westchnął Rosolnik* — *z wielką chęcią bym wam*



*założył gips w ramach czynu społecznego i koleżeńkiego, ale naprawdę, to już nie pomaga. Słowo daję.*

*— To co pomaga? — zapytaliśmy ze łzami w oczach.*

*Rosolnik spojrział na nas ze współczuciem.*

*— Doprawdy nie wiem... Mnie pomaga układanie wierszy, może i wy byście spróbowali...*

*— Nie... dziękujemy — bąknęliśmy wystraszeni i wycofaliśmy się z*

**gabinetu.**

*Mieliśmy jeszcze odrobinę nadziei, że Rosolnik bredził i że te jego ciężkie melancholiczne stany doprowadziły go do takich strasznych pomysłów. Pisanie klasówek zagipsowaną ręką? Nie, to zupełna bzdura!*

*Okazało się jednak, że to nie była bzdura. Kiedy popędziliśmy do tablicy ogłoszeń szkolnych, istotnie zauważyliśmy tam jakieś dwa nowe ogłoszenia. Jedno, bardzo duże i kolorowe, ozdobione rysunkami hokeistów, znakiem Czerwonego Krzyża i wielkim nagłówkiem, brzmiało:*

***KONIEC ZMARTWIENÍ***

***KOLEGO Z RĘKĄ W GIPSIE,***

***KOLEGO KONTUZJOWANY!***

***TO BARDZO PRZYKRO MIEĆ UNIERUCHOMIONĄ***

***RĘKĘ***

***I NIE MÓC PRACOWAĆ,***

***GDY CAŁA KLASA PRACUJE.***

***ALE OD DZIŚ WASZE UDRĘKI SIĘ SKOŃCZĄ.***

***KOLEŻEŃSKIE BIURO SZYBKIEJ POMOCY***

***RAZEM Z KOŁEM CZERWONEGO KRZYŻA***

***PRZYDZIELI CI BEZPŁATNIE SEKRETARZA,***

***KTÓRY W CZASIE PISANIA ZADAŃ KLASOWYCH***

***NAPISZE ZA CIEBIE WSZYSTKO,***

# **CO MU PODYKTUJESZ.**

*Uwaga!*

**Sekretarze**

*odpowiadają*

*tylko*

**za**

*staranne i czytelne pismo, natomiast, niestety, nie będą*

*mogli odpowiadać za podyktowaną treść zadania, gdyż*

*są*

*tylko*

*sekretarzami*

*i*

**nie**

*mogą*

*ponosić*

*odpowiedzialności za ewentualne błędy. Niech żyje*

*sport! Robimy to z uznania dla wyczynów naszej*

# **dzielnej ekipy olimpijskiej hokeja.**

*podpisano: „z upoważnienia”*

*„Emeryk Reksza, sekretarz Koleżeńskiego*

*Biura Szybkiej Pomocy”.*

*Drugie ogłoszenie było krótsze i bardziej skromne, ale treść jego*

*przyprawiła nas o znacznie gwałtowniejsze bicie serca. Było to bowiem*

*ogłoszenie pana kierownika.*

*„Kierownictwo szkoły doceniając szlachetną inicjatywę*

*Koleżeńskiego*

*Biura*

*Szybkiej*

*Pomocy*

*i*

# **Kola**

*Czerwonego Krzyża przy naszej szkole zgadza się, by zadania klasowe uczniów kontuzjowanych były pisane przy pomocy sekretarzy przydzielanych przez K.B.S.P.*

*W związku z tym nie będzie się nikomu udzielać zwolnień od pisania zadań klasowych, chyba w przypadku*



**choroby**

*obložnej,*

# stwierdzonej

*świadectwem lekarskim.”*

*podpisano:*

*„Kierownik szkoły im. Stanisława Kotlarskiego*

*mgr Adam Mężny”.*

*Przez dłuższą chwilę nie mogliśmy wykrztusić ani słowa z wrażenia i*

*mimo że właśnie zadźwięczał dzwonek na lekcję, staliśmy jak*

*sparaliżowani.*

*— To ten okropny Emeryk — rzekł wreszcie przez zęby Cykucki. — On*

*zawsze ma jakieś niesamowite pomysły! Ale urządził hokeistów.*

*Wyobrażam sobie, jak będą mu wdzięczni. I co my teraz zrobimy?*

*— Właśnie. Co teraz zrobimy?! — jęknąłem.*

*— Teraz pójdziecie do klasy, bo już po dzwonku! — usłyszeliśmy za*

*sobą gruby głos.*

*Struchleliśmy. Za nami stał Kwas we własnej osobie. Wziął nas pod*

*ręce i zaprowadził do klasy. Był w doskonałym humorze. Czyżby z powodu*

*pomysłu Emeryka?*

*Ten dobry humor Kwasa nie wróżył nic dobrego. Jeśli Kwas był w*

*tak doskonałym humorze, to znaczy, że już przygotował dla nas na jutro*

*jakieś piekielne zadanka i nic nie zakłóca jego pedagogicznego spokoju. No*

*i cieszy się, że nareszcie przyskrzyni hokeistów.*

*\* \* \**

*Przerażeni, zaraz na następnej przerwie postanowiliśmy udać się do*

*Kłapucha. Wieść o „przydzielaniu” sekretarzy dla zagipsowanych musiała już rozejść się po całej szkole, bo na korytarzach, zwłaszcza na dole, gdzie były klasy siódme i gdzie najwięcej było „kalek” — wszędzie widziało się podniecone, zdenerwowane bractwo. Niektórzy, najmniej odporni, pozbywali się gipsu, obtłukując go sobie uderzeniami o kaloryfery w umywalniach. Dochodziły stamtąd raz po raz głuche stukoty, aż przykro było słuchać. Biały pył gipsowy unosił się w powietrzu. Na próżno Kłapuch i Bulwiec usiłowali powstrzymać nieodpornych od tego desperackiego kroku, wskazując, że w ten sposób kompromitują się przecież w oczach gogów. Nieodporni odpowiadali, że jeśli już muszą pisać klasówkę, to własnymi rękoma i że obnażanie swego nieuctwa i matolectwa przed sekretarzami byłoby nie do zniesienia. Zresztą to żadna przyjemność nosić ciężki gips i nie móc posługiwać się ręką, że im to się już znudziło i że nie mają ochoty cierpieć li tylko dla honoru.*

*Udało nam się wreszcie przyłapać Kłapucha. Stanęliśmy przed nim jak wyrzut sumienia i zapytaliśmy ponuro.*

*— No więc jak będzie z tym twoim sposobem, złoczyńco? Pamiętaj!*

*Jutro klasówka!*

*— Cóż ja wam mogę poradzić. Widzicie, co się wyrabia! — Kłapuch otarł spocone czoło. — Jak się ma w szkole taką bestię jak Emeryk, wszystkie sposoby zawodzą.*

*— Kłapuch się załamał — usłyszeliśmy koło siebie znajomy bulgot.*

*Zbliżał się do nas Bulwiec. — Biedak nie wytrzymał tego wszystkiego nerwowo i załamał się. Ale to nieprawda, że nie ma już sposobu. Jest*

*sposób — Bulwieć uśmiechnął się tajemniczo — nawet już nieco*

*wypróbowany. Pierwszy zastosował go fenomenalny Józio.*

*— Fenomenalny Józio? — wykrzyknęliśmy przestraszeni — och nie, to  
my z góry dziękujemy.*

*— Niepotrzebnie się płoszyście — zbulgotał Bulwieć.*

*— W tych sprawach Józio Rączka naprawdę jest fenomenalny.*

*Właśnie dlatego otrzymał ten zaszczytny przydomek. A wy może myślicie,  
że to z powodu matmy? — Bulwieć zachichotał rozbawiony.*

*Spojrzeliliśmy na niego podejrzliwie.*

*— Ty sam też zastosujesz ten sposób? — zapytaliśmy.*

*— Właśnie idę do fenomenalnego Józia w tej sprawie. Możecie iść ze  
mną.*

*— Nigdzie nie chodźcie! — ostrzegął nas Kłapuch. — Ja też słyszałem  
o tym sposobie, ale to jest sposób bardzo niebezpieczny. To jest sposób*

**okropny.**

*— Nie słuchajcie go — powiedział Bulwiec. — Kłapuch, nie siej  
zwątpienia i nie załamuj młodszych kolegów! Wystarczy, że sam się  
załamaleś.*

*Zawahaliśmy się.*

*— Co nam szkodzi spróbować — bąknął Cykucki.*

*— W każdym razie warto dowiedzieć się, co to za sposób —  
powiedziałem.*

*I poszliśmy z Bulwieciem.*

*Fenomenalny Józio znajdował się jak zwykle na końcu korytarza  
przy oknie. Ale tym razem nie oddawał się słodkiemu wylegiwaniu w  
marcowym słońku, lecz przeglądał pilnie jakieś książki. Jak zdążyliśmy  
zauważyć, jedna z nich nosiła tytuł „Higiena na co dzień”, a druga  
„Choroby zakaźne”.*

*— Słuchaj, Józio — powiedział Bulwiec — przyprowadziłem ci*

**bramkarzy.**

*— A to znowu oni! — westchnął Józio. — Czego chcecie, powiedziałem już, że nic wam nie mogę poradzić, moją specjalnością są tylko gąsiory.*

*— Tym razem nie o to chodzi — zabalgotał pośpiesznie Bulwieć — chodzi o poradę z zakresu medycyny.*

*Poruszyliśmy się niespokojnie, ale zanim zdążyłem coś powiedzieć, fenomenalny Józio włożył mi błyskawicznie palec do ust, gniotąc mnie jednocześnie drugą ręką w brzuch.*

*— Otwórz paszczę! — rozkazał. — I powiedz „a”.*

*— Aaa! — wykrztusiłem.*

*— Migdałki w porządku — powiedział Józio. — Brzuch cię nie boli?*

*— Nie, ale nie rozumiem...*

*— W tym stanie nie dostaniesz zwolnienia od pani doktor, choćbyś*

*nie wiem jak jęczał — mruknął Józio, po czym powtórzył te same zabiegi z*

**Cykuckim.**

*— Tak, obaj jesteście bezwstydnie zdrowi. W tym stanie rzeczy nie obejdzie się bez zabiegów specjalnych. Co sobie koledzy życzą? Żółtaczka? Tyfus? Odra? Różyczka? Ospa wietrzna? Płonica? Osobiście polecałbym jakąś ładną różową wysypkę.*

*Staliśmy oszołomieni.*

*— Widzę, że nie macie wielkiego pojęcia o medycynie — westchnął fenomenalny Józio. — Poziom wiedzy lekarskiej i higieny jest w naszej szkole zatrwajająco niski. No, więc może wybierzecie sobie z książki. Tu są*

**namalowane wszystkie wysypki.**

*To mówiąc podsunął nam ilustracje, przedstawiające dzieci z różnymi wysypkami.*

*Były to bardzo ciekawe ilustracje i oglądaliśmy je z wypiekami na*



**twarzy.**

— *Myślisz, że udałoby się „zachorować” na coś takiego? —*

*zapytaliśmy z powątpiewaniem.*

— *No pewnie. To nic trudnego. Po prostu robi się jakąś wysypkę.*

*Jak pani doktor zobaczy wysypkę, odeśle was do domu i każe wezwać lekarza specjalistę. No i klasówka się wam upiecze.*

— *A... a jak ten specjalista się pozna?*

— *Kiedy przyjdzie do was specjalista, zmyjcie sobie wysypkę i powiecie zgodnie z prawdą, że już jesteście zdrowi. Czy ktoś może mieć do was pretensje, że wyzdrowieliście? Przeciwnie, wszyscy się bardzo ucieszą. Istotnie, to było przekonywające, a jednak poczuliśmy, że robi nam się gęsia skórka na myśl o wysypce. I sumienie znów nas zaczęło uwierać, jak jakiś ciasny trykot albo but o jeden numer za mały. Spojrzeliśmy po sobie w rozterce. Co zrobić? Wycofać się z interesu? Nie! Pokusa była*

**jednak zbyt silna...**

— *No więc, na którą wysypkę się decydujecie? — powtórzył  
zniecierpliwiony już Józio.*

*Nie mogliśmy się zdecydować.*

— *W takim razie, cześć! Ja nie mam czasu. Nie zwracajcie mi głowy.*

*Widzicie, że już czekają w kolejce.*

*Obejrzeliliśmy się. Istotnie, przez ten czas utworzyła się do Józia*

*kolejka z jakichś dziesięciu co najmniej chłopaków, amatorów sposobu.*

*Bojąc się, żeby Józio się jednak nie rozmyślił, wykrztusiłem*

*pośpiesznie:*

— *Ty sam wybierz... żeby tylko była skuteczna.*

— *I ładna — chrząknął Cykucki — nie chciałbym budzić wstrętu.*

— *Dobra — powiedział Józio — zaaplikujemy wam płonicę. To bardzo*

*estetyczna, równa, różowa wysypka. I łatwa do wykonania. Przyjdźcie,*

*zaraz po lekcjach do mnie... Nie, lepiej dopiero o czwartej — poprawił się —*

*kiedy ojca nie będzie. Mógłby zauważyć.*

#### **ROZDZIAŁ IV**

*Punktualnie o czwartej zjawiliśmy się u Józia na ulicy Fabrycznej i*

*zastukaliśmy do bramy z napisem:*

*Eugeniusz Rączka*

# malarz pokojowy

*Rozległo się szczekanie psa, po czym usłyszeliśmy głos Józia: „Leżeć, Łajka! Nie strasz mi klientów”.*

*Zgrzytnęła zasuwka i drzwiczki w bramie otworzyły się. Weszliśmy na podwórze.*

*Ledwie mogliśmy poznać Józia. Ubrany był w długi aż do samej ziemi żółtawy fartuch, upstrzony różnokolorowymi plamami farby. Koło jego nogi szczyrzyło zęby warcząc złowrogo niesamowicie kudłate psisko. — Tędy — powiedział Józio i poprowadził nas w kierunku niewielkiej drewnianej komórki.*

*Oglądając się z lękiem na kudłatą bestię pośpiesznie weszliśmy do „atelier”. Całe pomieszczenie było zagracone różnymi przyborami malarskimi. Stały tu kubły z pędzlami, drabiny i wielkie torby z farbą. Zapach kleju unosił się w powietrzu. Pośrodku, na niskim stołeczku, siedział jakiś osobnik w spiczastej papierowej czapce na głowie. Ramiona i piersi miał osłonięte gazetami. Na odgłos kroków obrócił twarz w naszą stronę, a my wzdrygnęliśmy się nieprzyjemnie. Było to oblicze trupa, blade jak prześcieradło i napiętnowane tu i ówdzie sinymi plamami. — Jak wam się podobam? — usłyszeliśmy znajomy bulgot i dopiero wtedy poznaliśmy, że twarz upiora należy do Bulwiecia, zwanego*

**Indykiem.**

— *Co ty z nim zrobiłeś? — wymamrotałem, patrząc z przerażeniem na fenomenalnego Józia.*

*Józio uśmiechnął się zadowolony.*

— *To było konieczne — wyjaśnił. — Dyk ma taką czerwoną cerę, że żadna wysypka by mu nie wyszła. Musiałem najpierw go zagruntować.*

— *Zagruntować!*

— *To znaczy dać mu podkład z białej farby. Dopiero teraz czerwona wysypka będzie się uwidaczniać. Z wami nie będzie takiego kłopotu. Już i tak jesteście wystarczająco bladzi.*

— *Ale te sine plamy — wykrztusiłem. — To przecież wygląda*

# okropnie.

— *Przestraszyliście się?* — zarechotał Józio. — *O to właśnie chodzi.*

*Dyk bał się, że zwykła wysypka mu nie wystarczy. To dlatego, że pani doktor Frędzłowa nie na do niego zaufania. Od czasu, jak miał tę wpadkę ze spuchlizną. Raz poszedł do pani doktor ze spuchniętym policzkiem i powiedział, że to od zęba i poprosił o zwolnienie. Ale w czasie tej mowy zakrztusił się i z ust wypadła mu piłeczka pingpongowa, a spuchlizna od razu znikła. Od tej pory już nie próbuje sposobów na własną rękę i zawsze zasięga porady fachowca.*

— *Kończ swoje dzieło, a nie plotkuj!* — zabułgotał niezadowolony *Bulwieć.*

— *Już zaraz kończę* — powiedział fenomenalny Józio i zamieszał czerwoną farbę w kubelku, po czym wziął ryżową szczotkę, umoczył ją delikatnie w gęstej czerwonej cieczy i przyłożył do twarzy pacjenta.

— *Aj! Nie tak mocno! Pokłuleś mnie!* — jęknął Indyk.

*Ale fenomenalny Józio nie zwracał na niego uwagi, lecz systematycznie przykładał szczotkę w coraz to inne miejsce na twarzy*

# Bulwiecia.

*Obserwowaliśmy z zapartym tchem ten zabieg. Musieliśmy przyznać, że Józio znał się na rzeczy. Wkrótce cała twarz Indyka pokryła się równymi, drobnymi czerwonymi punkcikami.*

*— A teraz rozbierz się — powiedział Józio. — Zrobię ci wysypkę także na tułowiu.*

*— Oszalałeś! Tego już za wiele.*

*— A co będzie, jak pani doktor każe ci się rozebrać?*

*— Nie każe... — wybelkotał Bulwieć, oglądając sobie pokropkowaną twarz w lusterku. — Na pewno nie każe. Moja głowa wygląda tak przerażająco, że to jej wystarczy.*

*— Jak chcesz — powiedział Józio. — Ale pamiętaj, że ja cię uprzedziłem. Żebyś potem nie miał pretensji.*

*— Nie będę miał pretensji — zabalgotał Bulwieć i chciał wyjść, ale Józio zatrzymał go.*

*— Gdzie uciekasz? Musisz poczekać, aż ci wysypka zaschnie. Siądź sobie na tamtej skrzyni, zdejm ochronną czapkę z gazety i daj ją Jarkowi.*

*Teraz wezmę się za niego.*

*Szczerze mówiąc stchórzyłem i miałem wielką ochotę zbiec, ale to już nie było możliwe, ponieważ w drzwiach siedziała warcząc ta okropna kudłata bestia. Zrezygnowany dałem się posadzić na stolku...*

*Po kilku minutach byłem gotowy. Z kolei poddał się zabiegowi*

# Cykucki.

— *Doskonale — fenomenalny Józio obejrzał nas z satysfakcją. —*

*Nigdy jeszcze nie zrobiłem tak wspaniałej wysypki. Patrzcie, co za mistrzowska płonica, czyli szkarlatyna! — podsunął nam lusterko.*

*Przyglądaliśmy się sobie z mieszanymi uczuciami. Istotnie, wysypka była przerażająca... to znaczy przerażająco piękna, ale na dnie naszych nikczemnych dusz czaił się niepokój. Czy nie posunęliśmy się za daleko?*

— *Pamiętajcie tylko, żebyście się nie umyli z przyzwyczajenia —*

*powiedział Józio. — Musicie także uważać, żeby do jutra nikt nie zauważył u was tej wysypki, zwłaszcza rodzice. Bardzo by się przestraszyli i zawieźliby was od razu do lekarza. Pamiętajcie, że ta wysypka jest tylko dla pani doktor Frędzłowej. Pani doktor Frędzłowa jest bardzo wrażliwa i bez dokładniejszego badania odeśle was od razu do domu... Inni lekarze nie są tak wrażliwi i mogą was zdemaskować...*

— *A jak pani Frędzłowa odeśle nas od razu do szpitala? — zapytałem.*

— *To jest nawet bardziej możliwe...*

— *Nie szkodzi. Wtedy klasówka i tak się wam upiecze. Musicie tylko zmyć sobie wysypkę, zanim zaczną was badać w szpitalu. W szpitalu badają bardzo dokładnie i lepiej nie ryzykować. Najlepiej będzie, jeśli przyjdziecie jutro do szkoły z małą buteleczką wody w kieszeni. Jak was będą wieźli do szpitala, zmyjecie sobie wysypkę i wytrzecie się porządnie*

**trzema chusteczkami do nosa.**

*— Dlaczego trzema? — zapytał Cykucki.*

*— Bo jedna nie wystarczy. To jest bardzo mocna farba i zostałyby ślady. Musicie wziąć ze sobą co najmniej trzy chusteczki.*

*— A jak będą na nas patrzeć w czasie drogi, to jak się umyjemy? — zapytałem niespokojnie. Możliwość nieprzewidzianych komplikacji coraz bardziej mnie przerażała.*

*— Jak będą na was patrzeć w czasie drogi, to umyjecie się zaraz po przyjeździe do szpitala. Pójdziecie do umywalni i umyjecie się.*

*— A jak oni nas sami będą chcieli umyć? — zapytałem.*

*— Ja wiem, że ciężko chorych myją pielęgniarki — dodał ponuro Cykucki. — A my przecież będziemy ciężko chorzy.*

*— Och, dajcie mi spokój — zdenerwował się fenomenalny Józio — zawsze się znajdzie jakiś sposób! Ale jak się boicie, to po coście przyszli do*



**mnie.**

— *No dobrze, niech będzie, co chce — pociągnął nosem Cykucki. — To my już sobie pójdziemy.*

— *Najpierw pokwitujecie mi zabieg — powiedział Józio i przedłożył nam kartę z następującym oświadczeniem:*

*„Niniejszym stwierdzamy, że olimpijska drużyna hokeja na lodzie klasy siódmej A wywiązała się z paragrafu dziesiątego umowy sportowej i że jesteśmy zadowoleni z zabiegu, jakiego dokonał na nas kolega Józef Rączka”.*

— *To dlatego, żebyście nie mieli pretensji i dali nam wreszcie święty spokój — wyjaśnił Józio. — Postawcie datę u dołu i podpiszcie się.*

*Podpisaliśmy się z ciężkim sercem.*

— *No, to powodzenia — uśmiechnął się Józio.*

— *Niech wam płonica wyjdzie na zdrowie — dodał Bulwieć.*

*Nic nie odpowiedzieliśmy. Wcale nie byliśmy pewni, czy „płonica” wyjdzie nam na zdrowie, a nawet byliśmy przekonani, że dopiero teraz zaczną się prawdziwe komplikacje. Nie czekając na Bulwiecia wybiegliśmy na ulicę.*

*Postawiliśmy kołnierze, nasunęliśmy głęboko czapki na uszy i kryjąc napiętnowane wysypką twarze przemykaliśmy się wstydliwie bocznymi uliczkami do domu. Wszyscy przechodnie oglądali się za nami i uśmiechali się szyderczo, a może nam się tylko zdawało? Najbardziej baliśmy się, żeby nie spotkać kogoś znajomego, ale na szczęście nikogo znajomego nie*

*spotkaliśmy. Choć wiedzieliśmy, że nie ma sensu tak gnać i że to właśnie zwracało na nas uwagę, coraz bardziej przyspieszaliśmy kroku. A ta okropna wysypka swędziała nas i piekła jak prawdziwa, a nawet chyba*

**jeszcze gorzej.**

*Zatrzymaliśmy się dopiero koło bloku, w którym mieszkał Cykucki.*

*Chciałem mu coś powiedzieć na pożegnanie i czułem, że on też chciał mi coś powiedzieć, ale żadne słowo nie mogło nam jakoś przejść przez gardło.*

*Zadyszani uścisnęliśmy więc sobie tylko ręce, chociaż nigdy dotąd tego nie robiliśmy. Widać ta ponura i śmieszna (zależy dla kogo) historia tak nas połączyła, że mocno uścisnęliśmy sobie ręce. Czyżby i u oszustów były możliwe serdeczne uczucia?*

*Wreszcie przemogłem się i zapytałem Cykuckiego:*

*— Bardzo ci tyso?*

*— Tyso mi — przyznał.*

*— Boisz się, że w domu zauważą?*

*Potrząsnął głową.*

*— Nie... to nie dlatego... Rodzice wrócą z pracy dopiero późnym wieczorem. Będę już spał. A babcia... Babcia ma słaby wzrok, zresztą jest chora na wątrobę i prawie się nie rusza... Ja nie dlatego, tylko... rozumiesz... tak w ogóle tyso. W ogóle i zasadniczo.*

*Rozumiałem go doskonale.*

*— Mam złe przeczucia — dodał po chwili posepnie — boję się, żeśmy się strasznie zaplątali.*

*— No to... to może zmyjemy tę wysypkę — zaproponowałem nieśmiało.*

*Ale Cykucki spojrział na mnie przestraszony.*

— *Nie... Przecież nas czeka ta klasówka... Zresztą siódmacy śmialiby się z nas. Musimy, bracie, wytrwać do końca.*

*Nic nie powiedziałem i odszedłem.*

*Przed drzwiami naszego mieszkania długo wahałem się, zanim nacisnąłem guzik dzwonka. Kiedy usłyszałem kroki mamy w przedpokoju, nacisnąłem jeszcze głębiej czapkę na uszy i wtuliłem głowę w ramiona oraz na wszelki wypadek wyjąłem chusteczkę z kieszeni. W razie gdyby mama wyjrzała, udam, że wycieram nos i zasłonię się chusteczką. Może jednak nic nie zobaczy?*

— *Kto tam?* — *zapytała mama.*

— *To ja, Jarek, niech mama otworzy i szybko biegnie do kuchni* — *powiedziałem* — *bo zdaje się, że coś się przypala.*

— *Nic nie czuję* — *powiedziała mama przekręcając klucz w zamku i otwierając drzwi.*

*Zasłoniłem twarz chusteczką i udałem, że wycieram nos, a na wszelki wypadek odwróciłem się jeszcze tyłem do drzwi, udałem, że wycieram nogi o wycieraczkę. Bardzo długo wycierałem, ale mama nie odchodziła, tylko stała w drzwiach i czułem, że przygląda mi się uważnie.*

— *Pospiesz się* — *rzekła wreszcie nieco zdenerwowana tym moim długim wycieraniem.*

— *Muszę starannie wytrzeć nogi* — *odparłem* — *bo straszne błoto na ulicy i szkoda byłoby podłogi. Mama się zawsze tyle namęczy z tymi podłogami. To jeszcze potrwa, zanim skończę wycierać. Lepiej niech mama nie czeka na mnie i wróci do kuchni.*

— *Odkąd to zrobiłeś się taki porządny? — zapytała nieufnie mama.*

*Cofnęła się wprawdzie do mieszkania i przymknęła drzwi, ale nie odchodziła.*

— *Dlaczego mama czeka? — jęknąłem poważnie zaniepokojony.*

— *Chcę z tobą porozmawiać, a nie chciałabym przy ojcu.*

— *Czy coś się stało?*

— *Spotkałam dziś w aptece pana Kwasa. Domyślasz się chyba, co mi powiedział...*

— *Domyślam się — jęknąłem.*

— *To dobrze, że się domyślasz.*

— *Czy coś o arytmetyce?*

— *Tak. Jesteś zagrożony. Pan Kwas ubolewał, że zamiast powtarzać*

*arytmetykę, jak obiecałeś, grywałeś po całych dniach w hokeja z tymi*

*łobuzami z siódmej. Dlatego muszę z tobą poważnie porozmawiać.*

*Skóra mi ścierpła. Jeśli tak sprawy stoją, to ładnie wpadłem. Chyba*

*nic już nie uratuje mnie od rozmowy z mamą, a mojej nieszczęsnej wysypki*

*od zdemaskowania. Co robić? Na szczęście prócz innych niezbędnych*

*drobiazgów nosiłem zawsze w moich kieszeniach sznurek i zapalniczki. Teraz*

*w nich cała nadzieja. Drżącą ręką wyjąłem owe przedmioty z kieszeni i*

*szurając głośno nogami, żeby zagłuszyć trzask pocieranej zapalniczki,*

*zapaliłem koniec sznurka, po czym wetknąłem go do dziurki od klucza.*

— *Do... dobrze, mamo — wykrztusiłem — zaraz porozmawiamy, ale*

*teraz niech mama biegnie do kuchni, bo tam naprawdę coś się okropnie*

*przypala! Czy mama nie czuje dymu? Musi chyba mama coś czuć! —*

*wykrzyknąłem zrozpaczony wtykając coraz głębiej do dziurki od klucza  
tlący się sznurek.*

*— Rzeczywiście — mama pociągnęła nosem — jakiś dziwny swąd?*

*Czyżby jednak moje kotlety? Nic nie rozumiem — powiedziała i pobięła do*

**kuchni.**

*Błyskawicznie wśliznąłem się do mieszkania i zamknąłem w swoim pokoju, na wszelki wypadek — na klucz. Ledwie to uczyniłem, znów usłyszałem kroki mamy.*

*— Teraz to już zupełnie nic nie rozumiem. Kotlety w porządku, a przecież dałabym głowę, że czułam jakiś swąd! Jarku, gdzie jesteś? — zawołała zdziwiona.*

*— Jestem w swoim pokoju — odparłem.*

*Moje położenie wciąż jeszcze było bardzo niebezpieczne, na szczęście usłyszałem zbawczy głos ojca.*

*— Joasiu, kiedyż wreszcie dostanę ten obiad?!*

*— Już podaję — powiedziała mama. — Jarek, proszę do stołu!*

*— Nie będę dzisiaj jadł obiadu — zawołałem przez drzwi.*

*— A to, co znowu?! — zdziwiła się mama.*

*— Zjadłem już w szkole. Byłem tak głodny, że zjadłem dwie porcje z dokładką.*

*— W szkole? Co ty opowiadasz?! Mówiłeś przecież, że szkolne obiady pachną starą ścierką.*

*— Teraz kupili nowe ścierki — brnąłem coraz dalej zrezygnowany — a zresztą muszę się przespać. Bardzo proszę, żeby mi nikt nie przeszkadzał.*

*Już jestem w łóżku.*

*— Teraz? Cóż to za zwyczaj?!*

*— Po prostu jestem śpiący.*

— *Może on jest chory? — zaniepokoił się ojciec.*

— *Nie jestem chory, tylko jutro mamy klasówkę z arytmetyki i muszę być w formie, a tatuś sam mówił, że sen regangrenuje organizm.*

— *Nie używaj słów, których nie rozumiesz — powiedział ojciec — nie kompromituj mnie. Mówiłem, że sen re-ge-ne-ru-je, czyli odradza i odświeża.*

— *To właśnie chciałem powiedzieć, tato. Muszę być zregenerowany, czyli odświeżony i odrodzony.*

— *Dziwne, że sobie akurat dziś o tym przypomniałeś — mruknął*



**ojciec.**

— *O tym i o wycieraniu nóg — dodała mama.*

— *Dotychczas nie można cię było zagnać do łóżka — zauważył ojciec.*

— *I do wycierania nóg — dodała mama, a zwracając się do ojca*

*zapytała: — Czy nie uważasz, że Jarek zachowuje się dziś bardzo dziwnie?*

— *Może moje metody zaczynają przynosić rezultaty — westchnął*

*ojciec — i udało mi się wreszcie przemówić do rozsądku mego syna.*

— *Nie bądź zarozumiały, Tymoteuszu. To niemożliwe, żeby Jarek tak*

*nagle zmienił swój niedobry charakter.*

— *Dlaczego? Postęp odbywa się skokami. I dzieci też rozwijają się*

*skokami. Myślę, że Jarek wykonał właśnie taki skok. Czy nie zauważyłaś,*

*że ostatnio zmądrzał?*

— *Nie zauważyłam i wcale mi się nie podoba jego zachowanie —*

*odparła twardo mama, ale na razie zostawiła mnie w spokoju.*

*Wyjąłem lusterko i zacząłem przyglądać się mojej twarzy. Bardzo*

*zabawnie wyglądałem z tą wysypką. Chciałem się uśmiechnąć, ale jakoś*

*nie wyszedł mi ten uśmiech. To chyba dlatego, że byłem okropnie*

*zmęczony. Tak, te ostatnie przeżycia kosztowały mnie dużo nerwów. Te*

*ostatnie przeżycia, a zwłaszcza te kłamstwa. Nie myślałem, że będę musiał*

*tak dużo kłamać. Ale już widać tak jest z kłamstwami. Jak się raz skłamię,*

*to potem wciąż trzeba kłamać. To się toczy jak lawina.*

*Może w tej sytuacji najlepiej położyć się rzeczywiście do łóżka i*

*spróbować usnąć? Tak. Najlepiej usnąć. Nie myśleć o tym, co było i co*

## **mnie jutro czeka...**

*Położyłem się więc nie rozbierając się, aby sobie nie popsuć wysypki.*

*Zamknąłem oczy i próbowałem się uspokoić, to głupie, że mi serce tak wali... Dlaczego? Czyżbym się wciąż jeszcze bał?! Oczywiście, że to głupie!*

*Czego mam się bać?! W tej całej historii nie ma przecież nic strasznego!*

*Ona jest tylko śmieszna. Po prostu robię Kwasowi kawał. Tyle już różnych robiłem kawałów i nie przejmowałem się, dlaczego więc teraz miałbym się przejmować? To tylko jeszcze jeden kawał... nic innego tylko kawał... tylko kawał... powtarzałem sennie, ale nie mogłem usnąć.*

*Męczyłem się tak przez pół godziny, a może nawet dłużej, wreszcie z tego przykrego stanu wyrwały mnie jakieś kroki, i głosy w przedpokoju.*

*Nastawiłem ucha.*

*— ... Jest, ale powiedział, że będzie spać — usłyszałem głos mamy.*

*— To bardzo ważne, proszę pani — jęknął jakiś zdyszany głos.*

*— Jeśli to naprawdę bardzo ważne, to zastukaj — odparła mama.*

*— To bardzo ważne — powtórzył ten natręt, który przyszedł mnie niepokoić i zastukał energicznie do moich drzwi. Udałem, że nie słyszę, ale natręt nie miał ochoty kapitulować i zastukał powtórnie.*

*— Jarek, otwórz! — usłyszałem zdławiony głos. Dźwięczał w nim nieklamany niepokój.*

*— Kto tam? — warknąłem ze złością.*

*— To ja, Majta.*

*— Czego? — mruknąłem niegrzecznie.*

— *Otwórz. Muszę ci coś powiedzieć.*

— *Przepraszam cię, ale nie mogę cię wpuścić — odparłem, choć byłem ciekawy, jaki interes może mieć do mnie znany Ceklasista i Pirat.*

— *Jak to? Dlaczego nie możesz?* — zdumiał się Majta.

— *Źle się czuję.*

— *Ty też?*

— *Co znaczy „też”?*

— *Bo i Cykucki zachorował.*

*Umilkłem zaskoczony. Ładna historia! Czyżby Cykuś już wpadł? Po chwili zapytałem z udanym spokojem:*

— *Czy jesteś pewien?*

— *Tak.*

— *Widziałeś go?*

— *Nie, ale babcia mówiła.*

— *Co mówiła?*

— *Że dostał strasznej wysypki na całej twarzy.*

— *Wysypki?* — *zdziwiłem się nieszczerze. — Co ty wygadujesz?!*

*Przecież jeszcze w południe był zdrów jak ryba. Może dostał tylko piegów od słońca?*

— *Nie, to nie są piegi. To jest czerwona wysypka, takie gęste kropki.*

*Moja babcia mówi, że to szkarlatyna.*

— *Czy... czy twoja babcia go widziała?* — *zapytałem ostrożnie.*

— *Tak. Babcia Cykuckiego jest chora i moja babcia poszła ją odwiedzić. Długo dzwoniła do drzwi i nikt jej nie otwierał. Moja babcia*

*bardzo się zaniepokoiła, że coś się mogło stać z babcią Cykuckiego i zaczęła się dobijać z całej siły. Dopiero wtedy usłyszała kroki w przedpokoju i otworzył jej drzwi Zbyszek Cykucki w... w masce.*

*— W jakiej znowu masce?!*

*— Miał na twarzy zrobioną z papieru maskę. Moja babcia okropnie się przestraszyła, bo z początku nie poznała Cykuckiego i mało co nie zasnęła. Dopiero potem poznała, że to Zbyszek i rozgniewała się, że on sobie takie żarty z niej stroi. Zdarła mu tę maskę i wtedy jeszcze bardziej się przeraziła, bo zobaczyła, że Cykucki ma czerwoną wysypkę na twarzy. Narobiła alarmu, ściągnęła babcię Cykuckiego z łóżka i obie orzekły, że to szkarlatyna, a te pomysły Zbyszka z maską, to z powodu gorączki.*

*Okropne, co?*

*— Tak, to przykre — chrząknąłem siląc się na spokój. — Myślę, że będziemy mieli w szkole małą epidemię tej choroby — dodałem.*

*— Mówisz to tak spokojnie — zdziwił się Majta — a to przecież*

# **niebezpieczna choroba.**

*— Nie bój się, stary — powiedziałem — ona będzie miała bardzo łagodny przebieg.*

*— Skąd wiesz?*

*— O czym wy mówicie, chłopcy? — usłyszałem nagle głos mamy. —*

*Cóż to znowu?! Rozmawiacie przez drzwi? Jarku, dlaczego nie poprosiłeś*

# **kolegi do pokoju. To niegrzecznie...**

*— On się źle czuje, proszę pani — powiedział Majta.*

*— Cicho bizonie — syknąłem wystraszony.*

*— Źle się czujesz? — zapytała niespokojnie mama. — Może po tych dwu obiadach w szkole?*

*— Nie skądże, nic mi nie jest, mamo — powiedziałem i by nie budzić podejrzeń, pośpiesznie wciągnąłem Majtę do pokoju. Z dwojga złego wolałem już zdemaskować się przed Majtą, choć to był Ceklasista i Pirat, niż przed mamą.*

*Majta spojrział na mnie i, jak było do przewidzenia, przestraszył się.*

*— O rany... Jarek... Ty też masz wysypkę!*

*— Tak, mam, i co z tego?*

*— Jaka straszna!*

*— Nie wrzeszcz, bo przestraszysz moją biedną mamę. Zachowuj się jak mężczyzna.*

*— Dawno to masz?*

*— Dostałem przed jakąś godziną.*

*— To chyba naprawdę epidemia!*

*— Mówiłem ci, że to epidemia.*

*— Czy... czy to bardzo zaraźliwe? — Majta cofnął się spłoszony.*

*— To zależy — odpowiedziałem — ale nie bój się, to jest taka choroba, że jak kto nie chce zachorować, to nie zachoruje.*

*— Od czego się tego dostaje?*

— *Od strachu przed klasówką — odparłem. — To jest wysypka*

**szkolna.**

— *Nie słyszałem o takiej chorobie. Dosyć dziwna.*

— *Tak, dosyć dziwna — zgodziłem się.*

— *Czy... czy bardzo cierpisz? — zapytał ze współczuciem.*

— *Owszem.*

— *Piecze cię?*

— *Piecze i w ogóle...*

— *Nie widać tego po tobie. Musisz być bardzo dzielny — spojrzał na*



**mnie z podziwem.**

— *Staram się bracie.*

— *Dlaczego nie powiedziałaś rodzicom?*

— *Nie chcę ich martwić!*

— *Przecież powinieneś się leczyć.*

— *Wiem. Ale nie bój się. Jutro pójdziemy do pani doktor Frędzłowej, my wszyscy zarażeni.*

*Majta potrząsnął głową.*

— *Cykucki nie pójdzie.*

— *Dlaczego?*

— *Bo on już poszedł.*

— *Co ty opowiadasz?! — zaniepokoiłem się. — To niemożliwe! On nie mógł pójść!*

— *To prawda, nie bardzo chciał, ale go zabrali.*

— *Do pani Frędzłowej?*

— *Nie, gorzej.*

— *Do obcego lekarza?*

— *Jeszcze gorzej.*

— *Co to znaczy „jeszcze gorzej”? — przestraszyłem się nie na żarty.*

— *Właśnie, dlatego przybiegłem do ciebie — powiedział podniecony*

*Majta. — Cykucki jest w wielkim niebezpieczeństwie. Zabrali go do*

**znachora.**

— *Do zzzznachora? — wyjąkałem. — Co ty bredzisz, chłopie?!*

— *Ja wcale nie bredzę. Zabrali go do znachora, wiesz, tego na ulicy Zapłotkowej. Słyszałeś chyba... no, do tego Karolusa.*

*Przez dłuższą chwilę nie mogłem słowa wykrztusić z wrażenia.*

*Przeczuwałem co prawda, że z tą wysypką będą komplikacje, ale żeby do znachora... to mi w ogóle nie przeszło nawet przez myśl. Do znachora Karolusa! A to dopiero historia! Słyszałem różne straszne rzeczy o tym człowieku.*

— *Ale kto mógł wpaść na taki pomysł, żeby Cykuckiego do znachora!*

— *wybelkotałem.*

*Majta spuścił głowę.*

— *To... to moja babcia i babcia Cykuckiego — szepnął zawstydzony.*

— *One już były ze swoimi chorobami u Karolusa i bardzo w niego wierzą.*

*One są za... za...*

— *Zacofane — mruknąłem.*

— *Mało, że zacofane, one są za... zabobonne — rzekł ponuro.*

— *Zabobonne?*

— *Tak właśnie chciałem powiedzieć.*

— *Okropne! — jęknąłem. — Cykuś w rękach zabobonnych babek i znachora Karolusa!*

— *Musimy go ratować — powiedział Majta. — Przecież ten znachor może Zbyszka wpędzić do grobu. Znachorzy wpędzają do grobu — dodał z*

**przekonaniem.**

— *Tak, znachorzy wpędzają do grobu — powtórzyłem posepnie i wyobraziłem sobie Cykuckiego, ciągniętego przez babki do Karolusa na ulicę Zapłotkową, a potem poddawanego znachorskim zabiegom. A na koniec wyobraziłem sobie Cykusia w trumnie... i wzdrynąłem się. Nie, to zbyt straszne, żeby mogło być prawdziwe! Majta bierze mnie na kawał z tym znachorem. Był przecież Ceklasistą, a pomiędzy Ceklasistami i nami toczyły się nieustanne podstępne boje! Tak jest, trzeba uważać, to może być podstęp z jego strony. Cóż by mu tak zależało na biednym Cykuckim? Za bardzo się nim przejmuję.*

— *Słuchaj, Majta — powiedziałem — to bardzo ładnie, że tak się przejąłeś losem biednego Cykusia, chociaż on jest Aklasistą, a ty jesteś Ceklasistą. Bardzo ci dziękuję za dobre serce. Kto by pomyślał!... Do tej pory nie bardzo nas kochałeś...*

*Majta chrząknął.*

— *Tak, nie bardzo was kochałem — wyznał zakłopotany — ale dostać się w ręce znachora, to zbyt smutne, więc... przemogłem się.*

— *To bardzo szlachetne z twojej strony, że się przemogłeś, Majta.*

*Tym bardziej, że na pewno niełatwo ci to przyszło. Musiałeś chyba stoczyć wewnętrzną walkę, co?*

— *Tak, stoczyłem wewnętrzną walkę i przemogłem się — Majta spuścił oczy i zaczerwienił się — a poza tym... poza tym to przecież moja babcia tak wrobiła Cykuckiego, więc pomyślałem, że powinienem... —*

*Majta zająknął się — to znaczy poczułem się...*

*— Poczuleś się odpowiedzialny.*

*— Tak.*

*Przyjrzałem mu się uważnie. Nie, to jednak chyba nie był podstęp z jego strony. Minę miał szczerze zmartwioną i był naprawdę zakłopotany, a sznurowadło przy bucie dyndało mu rozwiązane. To zdarzało się dzielnemu Ceklasiście i Piratowi tylko w chwilach głębokiej rozterki. Co więcej, jego buty były bardzo zabłocone; oznaczało to, że biegł co sił w nogach, nie zważając na niekłajskie wyboje i kałuże. Gdyby jeszcze miał*

## **obgryzione paznokcie...**

*— Pokaż ręce — powiedziałem.*

*— Nie rozumiem... — spojrzał na mnie zdziwiony.*

*— Nic nie gadaj, tylko pokaż!*

*Majta wyciągnął ręce, a ja zobaczyłem, że paznokcie u kciuków ma rzeczywiście poobgryzane, co mu się zdarzało tylko wyjątkowo, w chwilach prawdziwego zdenerwowania, bo nie należał do gryzoni nałogowych. To rozproszyło resztę moich wątpliwości.*

*— Dobra jest — powiedziałem — idziemy na ratunek Cykusiowi. Czy dobre babunie dawno go zabrały?*

*— Nie dalej jak pół godziny temu.*

*— To może jeszcze zdążymy — mruknąłem i otworzyłem okno.*

*— Na pewno zdążymy — uspokoił mnie Majta. — U Karolusa są zawsze kolejki. Ale dlaczego otwierasz okno? Przecież wychodzimy.*

*— Właśnie dlatego — wskoczyłem na parapet.*

*— Chcesz wyjść przez okno? — zdumiał się Majta.*

*— Nie inaczej.*

*— Masz dziwne obyczaje. A moja mamusia to zawsze mówi, żeby brać z ciebie przykład.*

*— Masz mądrą mamusię.*

*— Czy ty zawsze wychodzisz przez okno? Ciekawym, czy gdybym powiedział mamusi...*

*— Nie filozofuj, tylko pakuj się za mną! — zgasilem go rozzłoszczony.*

## **ROZDZIAŁ V**

*Zeskoczyliśmy z okna, a potem przez ogród i sąsiednie podwórka pobiegliśmy w kierunku Zapłotkowej. Była dopiero jakaś piąta godzina, a już zaczęło się robić ciemnawo. Spojrzałem zdziwiony na niebo i dopiero teraz zauważyłem, że znów zanosi się na deszcz. Ciężkie chmury wisiały nad dachami Nieklaja. Psiakość! A ja nie wziąłem nawet czapki. Wrócić się? Nie, każda chwila droga! Biedak Cykuś może już być w opałach.*

*— Jak myślisz — zapytałem zadyszany Majtę — co znachor będzie robił Cykuckiemu na tę wysypkę?*

*— Skąd ja mogę wiedzieć? — odparł Majta łapiąc z trudem oddech.*

*— Myślałem, że twoja babcia jako... no, jako pacjentka coś ci powiedziała.*

*Majta przygryzł wargi.*

*— Nic mi nie powiedziała. Ale czytałem w jednej książce, że znachorka wpakowała dziecko z wysypką do rozpalonego pieca*

**chlebowego.**

— *Cykucki nie da się chyba wpakować — zauważyłem z nadzieją.*

— *Nie wiadomo — mruknął ponuro Majta — Karolus ma pomocnika, młodego dryblasa, który jest bardzo silny, a poza tym słyszałem, że jak ktoś jest nerwowy i niespokojny, to Karolus daje mu przedtem na sen jakieś ziola. Gość usypia i Karolus robi z nim, co tylko chce.*

— *A więc jednak babcia ci coś mówiła... Co jeszcze ci mówiła?*

*Przypomnij sobie, czy nie mówiła ci czegoś o wysypce.*

*W tym momencie poczułem na czole zimną kroplę deszczu.*

— *O rany! Już pada — wykrzyknąłem przerażony.*

— *No to co? — Majta spojrzał na mnie zdziwiony — coś taki bojący?*

*Nie jesteś z cukru, nie roztopisz się.*

— *Ja nie, ale moja wysy... — w ostatniej chwili ugryzłem się w język.*

— *Co ty mówisz? — Majta uniósł brwi do góry.*

— *Nie, nic — odburknąłem i nakryłem sobie czoło chusteczką od nosa.*

— *Co ty wyrabiasz?!*

— *Boję się, że sobie przeziębnię wysypkę.*

— *Wysypkę?*

— *A co ty myślisz?! To jest specjalna wysypka! Taka wysypka, bracie, to nie zwykły pryszcz!*

*Majta zmarszczył czoło i zamyślił się, nagle wykrzyknął:*

— *Przypomniałem sobie!*

— *Co sobie przypomniałeś?*

— *Coś o pryszczach. Babcia raz namawiała ciocię, która ma pryszczę, żeby poszła do Karolusa, bo babcia widziała, jak Karolus leczy pryszczę. Był tam u niego jeden chłopak z pryszczami, to Karolus obłożył mu twarz białą papką z otrąb.*

— *I co? — zapytałem niecierpliwie.*

— *I nic, później wytarł.*

— *Myślisz, że wysypkę Cykusia będzie leczył podobnie?*

— *Chyba tak!*

— *Ależ to okropne! — zdenerwowałem się. — Przykładać papkę!*

— *Dlaczego okropne? — Majta spojrzał na mnie zdziwiony. — Mnie to od razu ulżyło, jak sobie przypomniałem, że temu chłopakowi to on tylko przykładał papkę i wycierał. To przecież nie może zaszkodzić.*

— *Może. Jeszcze jak! — mruknąłem ponuro.*

— *Otręby są nieszkodliwe.*

— *Bardzo szkodliwe.*

— *Przecież on mu tylko przyłoży i wytrze.*

— *Na tę wysypkę, którą ma Cykucki, to właśnie najbardziej szkodzi!*

— *Nie rozumiem, co mu się może stać — wzruszył ramionami Majta.*

— *Jak to co?! Wysypka zniknie! — tym razem za późno ugryzłem się w język...*

*Majta spojrzał na mnie z wyraźnym współczuciem.*

— *Ty chyba jesteś naprawdę ciężko chory.*

— *Dlaczego?*

— *Bo zaczynasz bredzić. Raz mówisz, że przykładanie papki z otrąb*



*szkodzi, a drugi raz, że pomaga.*

— *Przepraszam cię, wcale nie mówię, że pomaga. Mówię tylko, że*

## wysypka zniknie.

— *No właśnie. A przecież jak wysypka zniknie, to znaczy, że jest wyleczona, czyli że przykładanie papki pomaga, czyli że znachor Karolus zna się na rzeczy...*

— *Co powiedziałaś?! — znieruchomiałem, bo nagle przyszła mi do głowy straszna myśl, coś, czego dotychczas nie brałem zupełnie pod uwagę... Zrozumiałem, że nasza niewinna wysypka może wywołać pożałowania godne i zgoła inne niż przewidywaliśmy, komplikacje w niekłajskim świecie i sprowadzić na ludzi niebezpieczeństwo, wobec którego klasówka z matmy jest śmiesznym drobiazgiem, a rozkwaszenie nas przez Kwasa przyjemnym zabiegiem higienicznym.*

*Wyraz moich oczu musiał być dość nieprzytomny, bo Majta przestraszył się nie na żarty.*

— *Ty masz na pewno gorączkę! — powiedział i nim zdążyłem mu przeszkodzić, przyłożył mi wilgotną dłoń do czoła.*

— *O Boże! — wykrzyknął. — Co ci się stało?! Jarek, jak ty wyglądasz?!*

— *Czy coś z wysypką? — zapytałem dziwiąc się, że mówię to tak*

**spokojnie.**

*— Tak — wykrztusił Majta — wy... wysypka ci puściła.*

*Westchnąłem, a raczej odetchnąłem z ulgą. No tak, mogłem się spodziewać. Moją wysypkę diabli wzięli. A najciekawsze, że wcale się tym nie przejąłem, a nawet poczułem się lżej, zupełnie jakby ciężar spadł mi z*

**serca.**

*Majta oglądał sobie z przerażeniem dłoń, na której odbiły się*

## **czerwone plamki.**

— *Moja ręka! — jęknął. — Zaraziłem się! Zobacz jak wygląda moja ręka! Ja też dostałem wysypki! Na całej dłoni!*

— *Dobrze ci tak — powiedziałem flegmatycznie — mówiłem ci przecież, że ta wysypka nie znosi wilgoci i wycierania, a ty musiałeś mnie mokrą łapą po buzi...*

— *O matko, moja ręka! — jęczał Majta. — Oj, jak mnie piecze... Już na całym ciele... Co teraz zrobię?!*

— *Przede wszystkim przestań wydzierać mi się nad uchem, bo mam słabe bębenki, a potem idź umyć ręce.*

— *Jak to „umyć”?!*

— *Bo nie jesteś zarażony, tylko po prostu pobrudziłeś się moją wysypką, bo ją rozpaprałeś i rozmazałeś...*

*Majta zawstydził się i począł wycierać sobie ręce chusteczką.*

— *Przepraszam cię — wymamrotał — ja nie wiedziałem, że ta wysypka taka delikatna... leciutko cię tylko dotknąłem...*

— *Nie szkodzi — mruknąłem — jakoś to zniosę.*

— *Bardzo cię boli?*

— *Nic mnie nie boli.*

— *Ty jesteś bardzo dzielny — Majta przyglądał się uważnie mojej twarzy, to znów patrzył na swoją ufarbowaną dłoń. Wreszcie musiał zorientować się, że coś nie jest w porządku, bo nagle poślinił palec i bezceremonialnie potarł mi wysypkę w okolicy ucha.*

— *Schodzi... — wybelkotal — nie zostawia nawet śladu... więc to tak?!*

— *Oczywiście, idioto! „Sokole oko” to ty nie jesteś. Zobacz, co ja zrobię z moją wysypką.*

*Podszedłem do rynny najbliższego domu, dzwoniącej jeszcze deszczówką i umyłem sobie dokładnie twarz.*

— *Już wyzdrowiałem — uśmiechnąłem się, ocierając się rękawem.*

*Majta patrzył na mnie ponuro przygryzając wargi.*

— *Ale ty masz pomysły! Wysypka szkolna! Co ci wpadło do głowy?!*

— *zapytał nie bez podziwu.*

*Zrobiłem znudzoną minę.*

— *Po prostu... mała próba sposobu... Jutro mamy klasówkę z matmy, więc wypróbuję różne sposoby.*

— *Wiesz, to jest naprawdę sposób! — zapalił się nagle Majta. — Taka wysypka działa na każdego. Pani doktor Frędzłowa na pewno by cię zwolniła z lekcji. Jak to się robi?*

— *Ryżową szczotką umoczoną w czerwonej farbie — odparłem i pozwoliłem sobie na głębsze ziewnięcie. — Tylko farba musi być gęsta, inaczej cieknie po gębie.*

— *Wiesz, to ja też spróbuję — rzekł podniecony Majta.*

— *Nie radzę — wycodziłem.*

— *Dlaczego?*

— *Sposób jest do luzu. Dużo kłopotu, a skutki wątpliwe, czasem nawet groźne. Nie mówiąc już o tym, że tego rodzaju wysypka jest*

## **nieodporna na deszcz.**

— *Wprowadzę ulepszenie — mówił nie zrażony Majta. — Zastosuję farbę olejną.*

— *Śmieszysz mnie — skrzywiłem się. — Nie bądź dzieckiem, olejną czy nie olejną, to nie zmienia postaci rzeczy. Powiedziałem, że sposób jest w ogóle do luftu.*

— *Dlaczego?*

*Wzruszyłem ramionami.*

— *Nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Po prostu... no, po prostu zdrowy organizm nie znosi takiej wysypki. Stwierdziłem to naukowo i doświadczalnie. Tobie się zdaje, że wystarczy zrobić sobie taką wysypkę i wszystko załatwione. Nie, bracie, to nie jest takie proste. Spróbuj nosić taką wysypkę.*

— *Piecze? Swędzi?*

— *Żeby tylko to... Przy normalnej wysypce możesz się przynajmniej podrapać, a tu drapanie nic nie pomoże. Nie masz ani chwili spokoju. Nie możesz ani spać, ani jeść, ani się bawić i wciąż czujesz się zgniłym kartoflem. Czy czuleś się kiedyś zgniłym kartoflem?*

— *Nie. Raz tylko, kiedy skłamałem, czulem się pomidorem.*

— *Zgniłym?*

— *Nie.*

— *A jakim?*

— *Takim zwyczajnym, czerwonym.*

— *No to nie możesz zrozumieć. Ale zrób sobie taką wysypkę, to poczujesz, jakie to przyjemne.*

— *I nie ma na to lekarstwa?*

— *Jest. Tylko jedno. Trzeba się umyć. Tylko umycie pomaga. Dlatego nie radziłbym ci robić sobie wysypki olejną farbą, bo trudniej ją zmyć.*

— *Czy Cykucki też ma taką wysypkę?*

— *Taką samą.*

— *A dlaczego się nie umył, jak go ciągnęli do znachora?*

*Chrząknąłem zakłopotany. Nie chciałem źle mówić o Cykuckim.*

— *Widzisz... Cykucki chce doprowadzić próbę do końca. On jest bardzo wytrwały. No, ale dosyć tego gadania, musimy się pośpieszyć, jeśli chcemy uratować Cykuckiego.*

*Majta wzruszył ramionami.*

— *Śpieszyć się? A po co? Czy w ogóle warto tam iść?*

— *Jak to, czy warto!*

— *No, przecież nic mu nie grozi. Znachor przyłoży mu tę papkę z otrąb, potem go wytrze i będzie po zmartwieniu.*

— *To właśnie byłoby okropne! — powiedziałem. — Nie możemy do tego dopuścić.*

— *Niby dlaczego?*

*Spojrzałem na Majtę zniecierpliwiony. Biedak nic nie kapował.*

— *Zrozum, jeśli znachor przyłoży Cykuckiemu tę papkę i wysypka zniknie, to wszyscy będą myśleli, że znachor naprawdę go wyleczył i rozbębnią po całym mieście, że Karolus leczy szkarlatynę od ręki i zrobią z*



*niego jakiegoś magika-cudotwórcę i dużo ludzi w to uwierzy. Już teraz ludzie w niego wierzą, a co dopiero będzie wtedy, kiedy mu się uda z tą wysypką! Będą do niego przyprowadzać naprawdę chore dzieci. Zamiast do szpitala i do lekarzy, będą je przyprowadzać do Karolusa. I te dzieci mogą umrzeć. A wszystko z powodu wysypki Cykuckiego. Dlatego nie możemy przecież dopuścić, żeby Cykucki dostał się w ręce Karolusa.*

*Majta słuchał przestraszony, a potem powiedział z nadzieją w głosie.*

*— Może... Cykucki sam sobie zetrze tę wysypkę, zanim go znachor zbada?*

*— Nie licz na to — odparłem. — On tego nie zrobi. Ja go znam. Nie mógłby zetrzeć po kryjomu, bo babunie go pilnują, więc musiałby się przyznać, że on sam zrobił sobie tę wysypkę, że to jest fałszywa wysypka i że oszukał z tą wysypką... a na to się nie zdobędzie. Taki dzielny to on nie jest. Już będzie wolał, żeby go znachor leczył.*

*— To okropne! Czy on nie pomyśli, jakie to może mieć skutki?!*

*— A ty pomyślałeś?*

*Majta stropił się.*

*— To prawda, nie pomyślałem. Kapuściana głowa ze mnie.*

*— Nie przejmuj się — mruknąłem. — Ja też nie od razu o tym pomyślałem, dopiero jak zaczęliśmy rozmawiać...*

*— Ładne rzeczy! — dyszał Majta przyspieszając kroku. — To znaczy, że teraz od nas wszystko zależy... Wiesz, nigdy nie myślałem, że kiedyś tyle będzie ode mnie zależeć...*

*— Nie gadaj tyle — zgasilem go — bo się zatkasz. Gadanie źle wpływa*

*na bieg. Czy widziałeś, żeby biegacze gadali na stadionie podczas biegu?*

*Majta umilkł i popędziliśmy w milczeniu.*

*Nigdy chyba Nieklaj nie był świadkiem tak wspaniałego biegu.*

*Żałowałem później, że nie mieliśmy stopera, bo z pewnością osiągnęliśmy minimum olimpijskie. Błoto tylko klaskało nam pod stopami, a przerażeni przechodnie odskakiwali od nas gwałtownie. Nawet emeryci z ulicy Zapłotkowej, drzemiący na ławeczkach w gankach, przecierali oczy i zrywali się na nogi. Ktoś krzyknął nawet, że się pali, a ktoś inny: „Łapaj złodzieja!” Baliśmy się, żeby nie zaczęli nas gonić i jeszcze zwiększyliśmy tempo. Tchu nam brakowało, ale na szczęście dom Karolusa znajdował się już niedaleko...*

## **ROZDZIAŁ VI**

*Od dawna interesował nas ten dom. Jeszcze zanim zamieszkał tu Karolus, podejrzewaliśmy, że musi kryć jakąś tajemnicę. Stał w odosobnieniu na samym końcu ulicy, w głębi starego ogrodu, oddzielony od innych domów kilkoma pustymi placami. W lecie, gdy drzewa miały liście, nie było go zupełnie widać. Teraz przez gęstwinę nagich gałęzi majaczył niewyraźnie białymi ścianami. Stada czarnych kawek i gawronów, gnieźdzących się na pobliskim cmentarzu krążyły nad nim posepnie, napęlniając powietrze nieprzyjemnym krzykiem.*

*Uchyliliśmy ciężkie wierzaje dębowej bramy i zapuściliśmy się w mroczną, wysadzaną wiekowymi drzewami aleję. Naprzeciw nas ukazały się jakieś zabudowania. Ale to nie był dom, tylko stodoła i stajnia.*

*Zrobiliśmy jeszcze kilka kroków i zatrzymaliśmy się niepewnie, ponieważ*

*na drodze pojawił się baran. Było to wielkie zwierzę o wspaniałych rogach i puszystej, kręconej wełnie. Przez parę sekund przyglądał nam się nieżyczliwie, a potem pochylił głowę ku ziemi i zaatakował nas.*

*Uciekliśmy w krzaki. Baran rozglądał się za nami wyraźnie rozczarowany.*

*Dostrzegłszy nas wreszcie ukrytych za krzakami znów pochylił łeb i rzucił się w naszą stronę. W popłochu zaczęliśmy się cofać na przelaj przez ogród, aż ujrzelśmy, że znajdujemy się koło małej kapliczki w kształcie ulla. Ukryliśmy się za kapliczką i dyszeliśmy ciężko.*

*— Co za dziwny baran! — zasapałem. — Nigdy jeszcze nie widziałem podobnie złośliwego barana.*

*— Ja myślę, że to jest tresowany baran i Karolus trzyma go zamiast psa — szepnął wystraszony Majta.*

*— Nie wiem, jak się dostaniemy do tego domu — rzekłem niespokojnie, rozglądając się dookoła. — Zdawało się, że to prosta droga, a tak trudno trafić.*

*— Widocznie z tej alei trzeba było skręcić w jakąś boczną drogę — powiedział Majta i wychylił się bardzo ostrożnie zza kapliczki.*

*— Zobacz! — wykrzyknął nagle. — Tam gdzie te grube drzewa, jest aleja, którą szliśmy! To parę kroków stąd. Wróćmy z powrotem na aleję i tam się zorientujemy.*

*— A baran? — zapytałem.*

*— Barana na razie nie widać.*

*Dla pewności obszedłem skulony dookoła kapliczkę, uważnie lustrując sąsiednie krzaki. Barana istotnie nie było. Nagle poczułem, że*

*Majta chwyta mnie kurczowo za rękę.*

*— Ty, zobacz, ktoś siedzi w kapliczce — usłyszałem jego zdławiony*

szept.

*Obejrzałem się i wzdrygnąłem. W półmroku w głębi kapliczki zauważyłem jakąś postać. Była to figura zasuszonego, małego staruszka.*

*Siedział owinięty czymś w rodzaju koca, z głową wspartą na ręce...*

*— Nie bój się — wyszeptałem. — To figura jakiegoś świętka.*

*— Co to za święty? Taki dziwny? — wykrztusił Majta.*

*— Nie wiem. Pewnie święty Antoni, pustelnik.*

*— Święty Antoni?! Ależ on ma fajkę!*

*— Co ty opowiadasz?! — wytrzeszczyłem oczy. Istotnie, Majta się nie mylił. W ustach świętego tkwiła mała fajeczka.*

*— To chyba nie święty — wybełkotał Majta. — Czy widziałeś świętego z fajką?*

*— No... nie... — chrząknąłem niepewnie — ale nie bój się, to pewnie jakiś chuligan włożył mu tę fajkę. Chuligani mają takie pomysły.*

*— Myślisz? — zapytał z drżeniem w głosie Majta i wlaźł do kapliczki.*

*— Gdzie idziesz?! — syknąłem.*

*— Wyjmę mu tę fajkę. To nie wypada, żeby święty palił fajkę.*

*Nim zdążyłem go powstrzymać, wyjął fajkę z ust świętka. I wtedy stała się straszna rzecz. Święty poruszył się i przetarł oczy.*

*— Uciekajmy! — krzyknął Majta. — To nie jest święty!*

*Popędziliśmy przerażeni w zarośla. Przypadliśmy plackiem do ziemi za grubym pniem dębu i z bijącymi sercami czekaliśmy, co będzie.*

*Staruszek wyskoczył z kapliczki.*

— *Moja fajka!* — *krzyknął rozzłoszczony.* — *Kto zabrał mi fajkę?!*

*Czekaj, łobuzie jeden! Już ja cię znajdę!*

*Poprawił derkę na ramionach i zlorzecząc ruszył w kierunku alei.*

— *To przez ciebie* — *dyszał ciężko Majta.* — *Mówiłeś, że to figura.*

— *Wyglądał na figurę... tam było ciemno, skąd mogłem wiedzieć.*

— *To pewnie dozorca Karolusa* — *wykrztusił Majta.* — *Babcia*

*mówiła, że Karolus ma takiego staruszka dozorcę, który stoi na straży i*

*jak mu się kto nie podoba, to go nie wpuszcza.*

— *Ale co on robił w kapliczce?*

— *Widocznie schował się przed deszczem i usnął. W taką pogodę*

*staruszkom chce się spać.*

— *Chodźmy stąd lepiej* — *powiedziałem.* — *On tu może wrócić.*

— *Zaraz, tylko zostawię mu jego własność* — *to mówiąc Majta*

*podszedł do kapliczki i położył na widocznym miejscu fajkę.*

— *Teraz możemy iść* — *mruknął.* — *Ale dokąd pójdziemy?*

— *Gdzieś przed siebie. Ostatecznie ten okropny ogród nie jest dżunglą*

*i w końcu musimy odnaleźć dom Karolusa.*

*Błądziliśmy jeszcze parę minut, wreszcie dobrnęliśmy do wysokiego i*

*gęstego żywopłotu z cisów. Znaleźliśmy w nim dziurę i wyjrzelśmy*

*ostrożnie. Przed nami widać było jak na dłoni biały dom, nie dalej jak*

*pięćdziesiąt kroków od nas. Odetchnęliśmy. Teraz było jasne, dlaczego nie*

*możliśmy zobaczyć go przedtem.*

— *Wszystko przez ten żywopłot* — *powiedział Majta.* — *No a teraz do*

**akcji.**

*— Poczekaj! — powstrzymałem go. — Najpierw musimy zorientować się w sytuacji.*

*Przed domem stały trzy wozy. One przede wszystkim zwróciły moją uwagę. Na jednym z nich, suto wymoszczonym słomą, leżał pod pierzyną chłop z sumiastymi włosami. Na drugim — siedział przeraźliwie chudy mężczyzna w oklapłym kapeluszu i o twarzy głodomora. Ćmiąc papierosa patrzył z wyraźną zazdrością na łysego osobnika na trzecim wozie, który, trzymając w jednej ręce pajdę chleba, a w drugiej kawał kielbasy, posilał się leniwie. Mnie też od razu zachciało się jeść, bo przecież byłem bez obiadu, ale kiedy łysy obrócił na moment głowę, zobaczyłem, że na prawym policzku ma siną narośl wielkości pięści i od razu straciłem cały*

# apetyt.

*Pod ścianą domu na długiej ławie siedziały dwie starsze kobiety.*

*Rozmawiały o czymś z ożywieniem. Obok nich pokasływała elegancko ubrana pani. Dalej siedział puciołowaty staruszek. Podwinąwszy nogawkę u spodni, poprawiał sobie bandaż na nodze. Za nim blada jak płótno*

*dziewczyna opierała się ciężko o ścianę, zaciskając w rękach chusteczkę.*

*Koło ganku młoda matka z niemowlęciem zawiniętym w chustę chodziła nerwowo tam i z powrotem. Kiedy dziecko zaczynało płakać słabiutkim głosem, wciskała mu w usta smoczek i kołysała je gwałtownie.*

*Przyglądałem się tym wszystkim ludziom wstrząśnięty. Tylu chorych! I wszyscy wierzą w Karolusa. Ale czy on ich wyleczy? Majta pociągnął mnie za rękaw.*

*— Nie wiem, co to ma znaczyć — szepnął. — Cykuckiego nigdzie nie ma. Ani jego, ani babci.*

*— Może już Karolus go bada?*

*— Niemożliwe — mruknął Majta — zobacz, jaka kolejka. Babcia mówiła, że na pewno będą musiały czekać z Cykuckim co najmniej dwie*



**godziny.**

— *No, to co się z nim mogło stać?*

— *Nie wiem — szepnął Majta — może uciekł?*

— *Może — westchnąłem z nadzieją.*

*Zupełnie nie zdziwiłbym się, gdyby Cykuś próbował ucieczki.*

*Przygnębiające to było towarzystwo. Nie tylko zresztą ludzkie, ale i*

*zwierzęce. Pod płótem mezczała żałośnie koza uwiązana na postronku.*

*Nieco dalej szamotała się świnia ze skrupowanymi nogami. Łysy chłop na*

*wozie miał owcę, a ten drugi o twarzy głodomora — prosiątko.*

*Spostrzegłem też, że każda z kobiet w chustkach na ławce trzyma w*

*koszyku albo kurę, albo kaczkę. A jedna z nich miała nawet indora.*

— *Czy Karolus leczy też zwierzęta? — zapytałem Majtę.*

— *Głupi jesteś, te zwierzęta to honorarium. Babcia mówiła, że*

*Karolus leczy wprawdzie za darmo, z samej miłości do ludzi, ale trzeba mu*

*zwracać za lekarstwa. Ponieważ nie bierze pieniędzy, więc ludzie dają mu*

*prezenty. Każdy stara się dać jak najwięcej, bo jak mało daje, to mu*

*Karolus przepisuje bardzo gorzkie lekarstwo. A babcia jest strasznie*

*oszczędna, więc przy pierwszej wizycie wręczyła Karolusowi tylko pięć*

*jajek i Karolus przepisał jej na wątrobę wstrętne lekarstwo z utartego*

*żołądka i żółci kurzej i kazał zażywać trzy razy dziennie, i babcia*

*zgorzkniała już zupełnie. Więc na drugi raz kupiła za całą emeryturę*

*koszulę i skarpetki elastyczne oraz mydełko zagraniczne, i dała*

*Karolusowi. Karolus był bardzo zadowolony, bo dba o wygląd i o czystość*

*i nie zapisał babci żółci, a tylko utarty żołądek kurzy z cynamonem i cytryną oraz oliwę do popijania i jakąś nalewkę ziołową.*

*— I co, pomogło?*

*— Od razu! Nie miała już goryczy. To nawet było niezłe w smaku.*

*— Próbowaleś?*

*Majta zmieszał się nieco.*

*— Nie... to znaczy tylko trochę, wiesz, tak z ciekawości naukowej.*

*— Aha.*

*Podjeżenia Majty, że Cykuś próbował ucieczki, okazały się uzasadnione. Ledwie bowiem skończyliśmy wymianę zdań na temat metod leczniczych Karolusa, na ścieżce rozległ się chrzęst kroków. Muskularny młody osobnik w farmerkach i puszystym golfie prowadził za rękę zapłakanego chłopaka o twarzy napiętnowanej czerwonymi kropkami, w którym od razu rozpoznaliśmy Cykusia.*

*— To ten dryblas, pomocnik Karolusa — rzekł drżącym z przejęcia głosem Majta. — Musiał dogonić Cykuckiego.*

*Kilka kroków za dryblasem i Cykuckim dreptały dwie zziajane babcie. Gdy znaleźli się przed domem, babcie wzięły zbiega między siebie i posadziły na ławce.*

*Nieudana ucieczka Cykuckiego bardzo nas przygnębiła. Było jasne, że ratowanie biedaka to nie taka łatwa sprawa. No bo co można zrobić w sytuacji, kiedy babcie pilnują go jak żandarmi, a ten okropny dryblas stale się kręci.*

*— Tutaj nie da się nic zrobić — mruknął Majta — jedyna nasza*

*nadzieja to zakraść się w jakiś sposób do pokoju, gdzie znachor leczy...*

*— I co?*

*— I jak będzie chciał badać Cykuckiego, porwiemy go.*

*— Znachora?!*

*— Nie. Cykuckiego.*

*— Jak go porwiemy? Tam będzie przecież znachor i obie babcie. Nie pozwolą.*

*— Zagadasz ich jakoś. Powiesz, że jesteś chory, czy coś takiego... a jak ty będziesz zagadywał, ja złapię Cykuckiego i wypcham go stamtąd.*

**Potem uciekniemy.**

— *A ja?*

— *Co ty?*

— *A mnie zostawicie w rękach znachora?! Dziękuję.*

— *Nie bój się. Co ci może zrobić? Wszystko będzie na mnie. Przecież to ja porwę Cykuckiego.*

*Pokręcił głową.*

— *Wcale nie jestem pewien, że wszystko będzie na ciebie. Zresztą zapomniałeś o dryblasie. On was dogoni i przyprowadzi, tak jak przyprowadził Cykuckiego.*

*Majta nachmurzył się. Ściągnął brwi.*

— *Nie bój się. Znajdzie się i na dryblasa sposób.*

— *Ciekawym, jaki?*

— *No... trzeba go unieszkodliwić.*

— *Jesteś bardzo bystry — powiedziałem — ale pomysłami to ty jakoś nie strzelasz. Nie wysiliłeś się, bracie.*

— *Czekam, aż ty się wysilisz.*

— *To długo będziesz czekał.*

*Z ponurą miną przyglądałem się pomocnikowi Karolusa. Co można zrobić takiemu dryblasowi? Wyglądał na bardzo silnego. Zabrał się właśnie do noszenia wody. Dwa wielkie wiadra niósł z taką łatwością, jakby to były kubelki trocin. Zauważyłem, że nosi je gdzieś za dom.*

— *Po co on nosi tam tę wodę? — zapytałem Majty.*

— *Do łaźni. Za domem na lewo, w zaroślach, jest łaźnia. Babcia mówiła, że znachor urządza teraz kąpiele ziołowe. Babcia się niedawno kąpała w tych ziołach i mamusia bardzo na nią krzyczała. O, już napalił w piecu. Widzisz ten dym?*

*Istotnie, za domem unosiła się w górę wstęga białego dymu.*

— *Czekaj no, bracie! — szepnąłem do Majty. — Coś mi przyszło do głowy.*

— *Więc jednak wysiliłeś się?*

— *Nie potrzebuję się wysilać. — rzekłem oschle i z godnością. — To mi samo przyszło do głowy.*

— *Co? No, strzelaj!*

— *Muszę najpierw zobaczyć tę łaźnię.*

*Okrążyliśmy z daleka dom i podczołgaliśmy się w pobliże niewielkiego drewnianego budynku, z którego komina buchał w górę ów biały dym. Stwierdziłem, że „łaźnia” posiada tylko jedno okno, zaopatrzone w kratę i solidne okiennice. Okiennice były teraz otwarte, a na futrynie leżała potężna kłódka. Druga taka sama kłódka wisiała u*

## **otwartych drzwi.**

*— Spójrz na te okiennice i kłódki — powiedziałem do Majty — i rusz swoją leniwą czaszką, a zrozumiesz, co mi przyszło do głowy.*

*Majta spojrział na mnie bardzo okrągłymi oczyma.*

*— Nie myślisz chyba, żeby go... tego dryblas...*

*— Właśnie tak myślę. Nie mamy innego wyjścia. Jak tylko dryblas*

*wejdzie z wiadrami do środka, ty skoczysz natychmiast do okiennic i*

*zamkniesz je na kłódkę, a ja rzucę się do drzwi... Jasne?*

*— Jasne — Majta dziwnie zadzwonił zębami.*

*— Masz dreszcze? — zapytałem.*

*— Nnnie... ssskąd?*

*Zaczailiśmy się po drugiej stronie budynku. Po dwu minutach*

*usłyszeliśmy kroki na ścieżce. Wychyliłem się ostrożnie, ale, o dziwo,*

*nikogo nie zauważyłem... tylko krzaki cisów jakby się poruszyły. A może*

*mi się zdawało? Czekaliśmy jeszcze jedną minutę i kroki rozległy się*

*powtórnie, ale inne, cięższe. Tym razem to był naprawdę dryblas. Ale nie*

*spieszyło mu się jakoś. Zanim wszedł do „łazienki”, stanął przed drzwiami,*

*zjął but i skarpetkę, po czym wytrząsł z niej jakieś paprochy. Musiały go*

*uwierać. Przy sposobności zauważyliśmy, że ma dość brudne nogi, a za*

*paznokciami nosi głęboką, tak na oko, co najmniej miesięczną żałobę.*

*Załatwiwszy się ze skarpetką, ściągnął swój wspaniały golf (musiało mu*

*być za gorąco, a może bał się go pobrudzić przy pracy), powiesił go na*

*pobliskim krzaku, a następnie zabrał się do rąbania grubej kłody drzewa,*

*leżącej pod ścianą. Przyglądaliśmy mu się zniecierpliwieni. Że też mu się zachciało akurat teraz rąbać! Skończył nareszcie, otarł ręce o spodnie, sięgnął po swój wspaniały sweter i nagle ręka zawisła mu w powietrzu.*

*Puszysty golf zniknął jak kamfora. Nie dowierzając własnym oczom dryblas począł rozglądać się gorączkowo. Zaglądał za krzaki, rozgarniał gałęzie, szukał dookoła na ziemi, coraz bardziej zaskoczony.*

*Swetra nigdzie nie było. My też patrzyliśmy w osłupieniu. Coś tu było naprawdę nie w porządku. Ale nie mieliśmy czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo zdenerwowany dryblas zaklął ohydnie i ruszył w naszym kierunku. Chciał widocznie zajrzeć za łaźnię. Przerażeni cofnęliśmy się za następny róg budynku. Kroki szeleściły nadal... Cofnęliśmy się więc jeszcze za następny róg. Kroki przyspieszyły się. My też. Dryblas obszedł cały budynek dookoła i my też. Dwa razy tak obeszlśmy wokół łaźni. Nie myśleliśmy już zupełnie o unieszkodliwieniu dryblasa i chcieliśmy tylko wynieść cało własną skórę. Ale oto nadarzyła się wyjątkowa sposobność.*

*Dryblas już miał ochotę po raz trzeci oblecieć dookoła budynek, gdy nagle z wnętrza łaźni dobiegł nas wyraźny trzask, jakby ktoś nadepnął na suchy patyczek. Dryblas znieruchomiał, gryząc paznokiec zastanawiał się...*

*Potem wziął siekierę i na palcach zbliżył się do drzwi. Otworzył je gwałtownie i wpadł do środka.*

*— Zamykaj! — krzyknąłem do Majty.*

*Majta skoczył do okiennic, ja do drzwi. Błyskawicznie założyłem kłódkę. Z wnętrza dobiegł nas stłumiony krzyk dryblasa. Począł bębnić pięściami o drzwi, a potem rzucił się do okiennic, ale Majta zdążył już je*

*zamknąć.*

*— Nie krzycz tak — rzekł spokojnie do więźnia. — I zachowuj się dzielnie. To nie potrwa długo. Jak nam dobrze pójdzie, będziesz wolny za godzinę. Przez ten czas możesz się wykapać, bo jesteś dosyć brudny... Majta miał ochotę na dłuższą przemowę, ale przerwałem mu*



**niecierpliwie.**

— *Przestań popisywać się wymową. Nie ma na to czasu.* —

*Wycofaliśmy się przez zarośla.*

— *Jak myślisz, czy nikt nas nie widział?* — zapytał Majta.

— *Chyba nikt. Nie, na pewno nikt* — powtórzyłem stanowczo.

— *Z wyjątkiem przyjaciela* — usłyszeliśmy nagle obcy głos. — *Tak, moi drodzy, nie ma nic pewnego na tym świecie. Ja o tym wiem najlepiej.*

*Zatrzymaliśmy się przestraszeni. Z zarośli wynurzył się szczupły osobnik ostrzyżony na jeża z wypchaną teczką w zabandażowanej ręce.*

— *Wpadliśmy* — szepnąłem. — *Czemu stoisz jak wryty?* — ciągnąłem Majtę. — *Trzeba wiać!*

— *O, Boże!* — wykrztusił Majta. — *Zdaje się, że ja znam tego człowieka. To Dariusz Jasnobrzeski. Cykucki pokazywał mi go w sądzie.*

*Wiesz, że ojciec Cykuckiego jest woźnym sądowym.*

— *Dariusz Jasnobrzeski?! — zamrugąłem oczyma z wrażenia. Ten...*

**ten...**

— *Tak, ten złodziej z branży kieszonkowców czyli doliniarzy.*

*Tymczasem Dariusz Jasnobrzeski zbliżył się do nas z szerokim uśmiechem.*

— *Moje gratulacje. Bardzo dobry dowcip z tym dryblasem. Będą z*

**was ludzie.**

*Staliśmy zmieszani. To nic przyjemnego słyszeć gratulacje z ust*

**takiego typu jak Dariusz Jasnobrzeski.**

*— Przepraszam, że zadam niedyskretne pytanie — Dariusz*

*Jasnobrzeski ściszył głos. — Czy koledzy młodszy bawią tu w charakterze pacjentów?*

*— Nie.*

*— Chuliganów?*

*— Nie, skądże! — zaprzeczyliśmy wzburzeni.*

*Dariusz Jasnobrzeski uśmiechnął się domyślnie.*

*— A zatem zarobkowo. Na małej doliniarskiej praktyce. Słusznie, pochwalam ten zamysł. Praktyka wśród pacjentów znachora bywa na ogół owocna. Ludzie zajęci swoimi chorobami stanowią wdzięczny materiał do ćwiczeń palcowych młodzieży.*

*Spojrzeliśmy po sobie nieprzyjemnie zaskoczeni. Zrozumieliśmy, że*

*Dariusz Jasnobrzeski wziął nas za swych młodszych kolegów po fachu.*

*Uznaliśmy za konieczne wyprowadzić go z błędu.*

*— Pan się myli — powiedziałem z godnością acz nieco drżącym głosem. — Nie jesteśmy tu na praktyce.*

*Dariusz Jasnobrzeski poklepał mnie po ramieniu.*

*— Podobasz mi się, mój chłopcze. W naszym zawodzie to bardzo cenna cnota trzymać język za zębami. Tak właśnie powinienesz zawsze odpowiadać. Ale mnie nie oszukacie. Widziałem, jak zręcznie ćwiczyliście wyjęcie fajki z ust groźnego dozorca oraz jak załatwiliście dryblasa. To wzorowe posunięcie taktyczne. Zanim przystąpi się do pracy, trzeba*

*oczyścić pole operacyjne...*

*Nawet nie próbowałem już zaprzeczać. Wiedziałem, że Dariusz*

*Jasnobrzeski i tak mi nie uwierzy. Westchnąłem tylko i zapytałem:*

*— Czy pan tutaj też na praktyce?*

*— Niestety, moje dziecko, to smutne, ale jestem tu w charakterze*

*pacjenta — odparł Dariusz Jasnobrzeski i pokazał swoją zabandażowaną*

*rękę. — Uległem wypadkowi przy pracy. Trafiłem na niechlujnego klienta,*

*który obok wypchanego portfela miał także żyletkę w kieszeni.*

*Podejrzewam, że brudną i w brudnej kieszeni na domiar złego.*

*Zastraszający jest ten brak higieny nawet u najbardziej nadzianych*

*osobników w Nieklaju. W rezultacie zostałem zakażony jakąś przykrą*

*chorobą. Rana się jadzi i nie chce się goić. Pożalowania godzin wypadek,*

*moi drodzy, i świadczący niezbyt pochlebnie o gościnności nieklajczyków,*

*gdyż musicie wiedzieć, iż jestem tu wyłącznie na gościnnych występach.*

*Pracowałem w Warszawie dziesięć lat i nigdy mi się coś podobnego nie*

*zdarzyło. Przykrość dla mnie tym większa, że zmniejsza moje zdolności*

*zarobkowe, a ja nie jestem ubezpieczony.*

*— To rzeczywiście bardzo przykre — powiedziałem — ale dlaczego nie*

*zwrócił się pan ze swoją chorą ręką do lekarza? Czy pan naprawdę wierzy*

*w znachorów?*

*— Oczywiście, jako człowiek światowy, obyty i, pochlebiam sobie,*

*kulturalny tudzież wykształcony, z największym wstrętem i obawą*

*zdecydowałem się skorzystać z pomocy znachora, ale nie miałem innego*

*wyjścia. Obawiam się, że prawdziwi, dyplomowani lekarze w Nieklaju nie*

*byliby dla mnie zbyt uprzejmi, gdyż zdarzyło mi się niestety zaglądać do*

**ich kieszeni...**

*— Bez ich zgody — dokończyłem.*

*— Otóż to właśnie — Dariusz Jasnobrzeski uśmiechnął się smutno. —*

*Ale czas na mnie. Idę stanąć w kolejce. Idziecie ze mną?*

*— Wolelibyśmy nie — odparłem.*

*— Rozumiem. Nie jesteście tu w charakterze pacjentów i wolicie się*

*nie ujawniać. A zatem powodzenia — powiedział Dariusz Jasnobrzeski i*

*ruszył w kierunku domu znachora.*

*My też ruszyliśmy, ale nie tak prosto jak Dariusz Jasnobrzeski, gdyż*

*Majta bał się, że może być rozpoznany przez babcie eskortujące Cykusia.*

*Wybraliśmy więc drogę okrężną, nieco dłuższą, ale za to zasłoniętą*

**krzakami...**

## **ROZDZIAŁ VII**

*Gdy znaleźliśmy się w pobliżu wozu z chorym chłopem pod pierzyną, zatrzymaliśmy się niezdecydowani, jaką dalej obrać taktykę. Nagle usłyszeliśmy za sobą słaby, zachrypnięty głos: „Chłopaki, chodźcie no z łaski swojej”. Obejrzelismy się. To ten chory z wozu nas wzywał kiwając żałośnie palcem. Podeszedłem do niego.*

*— Czego pan chce? — zapytałem.*

*— Pomóżcie mi zejść z wozu — poprosił.*

*— Pan chce zejść z wozu? Po co? — zdziwiłem się. — Pan jest przecież obłożnie chory.*

*— Bo teraz jest moja kolejka, a szwagier, jucha, który mnie tu przywiózł, gdzieś się zawieruszył. Pewnie poszedł do kina, bo to kinoman, jucha — westchnął chłopina, widząc zaś moje wahanie dodał — zróbcie samarytański uczynek, a nie pożałujecie. Jestem znanym plantatorem buraków cukrowych i mam na wozie trzy woreczki cukru po dziesięć kilo każdy. Jeden dla znachora, drugi dla szwagra, a trzeci rezerwowo na nieprzewidziane wypadki losowe. Z tego trzeciego odsypię wam po dwa kilo na łebka za miłosierną przysługę. Osłodzicie sobie życie przez dwa*



**tygodnie.**

*— Nie trzeba — powiedziałem. — Zsadzimy pana z dobrego serca.*

*Podaj panu plantatorowi rękę — skinąłem na Majtę.*

*Plantator buraków cukrowych wygrabolił się spod pierzyny i*

*plącząc się w swojej długiej białej koszuli nocnej zarzucił nam ręce na*

**szyje.**

*Nateżając wszystkie siły zszadziłmy go z wozu na ziemię i otarliśmy  
spoczone czoła. Zdumiewające, ile może ważyć taki plantator! Szadziłmy,  
że na tym zszadzaniu z wozu skończą się nasze samarytańskie posługi,  
pocziwiec jednak ani myślał nas puścić i jeszcze mocniej objął nas za*

**szyje.**

— *A teraz, gołąbki moje — jęknął — zanieście mnie do znachora.*

— *Pan mówił, żeby tylko pana zsadzić — mruknąłem zaskoczony.*

— *Jestem słabszy, niż myślałem — powiedział plantator.*

— *Wcale pan nie jest taki słaby — zasapałem — pan ma bardzo silne ręce!*

— *Ale nogi mam słabe — westchnął plantator — i serce mam już sterane, no i w ogóle jestem ciężko chory.*

— *To dlaczego nie pójdzie pan do jakiegoś prawdziwego lekarza?*

— *Nie mogę — pokręcił smutno głową plantator.*

— *Dlaczego pan nie może?*

— *Prawdziwy lekarz jest dla mnie za dobry.*

— *Jak lekarz może być za dobry?! — zdumiałem się.*

— *Może być. Prawdziwy lekarz by mnie za szybko wyleczył, a ja muszę jeszcze chorować... chociaż rok.*

— *Dlaczego pan musi?*

— *Bo mam niedobre dzieci. Nie chcą zostać na roli i uprawiać buraków cukrowych. Tylko moja choroba jeszcze je przy mnie trzyma.*

*Jakby zobaczyły, że wyzdrowiałem, to by mnie zostawiły samego na roli jak palec z moimi burakami i uciekłyby w świat. A tak są przy mnie i*

*uprawiają buraki cukrowe. No, więc wyjaśniłem wam wszystko uczciwie, a teraz szybko do znachora, gołąbki! — to mówiąc plantator popędził nas*

*nogą, a ściślej palcem od nogi, laskocząc nas w czułe miejsce pod*

**kolanami.**

*— Pan wcale nie ma słabych nóg! — wykrztusiłem oburzony.*

*— Dlaczego pan chce koniecznie, żebyśmy pana dźwigali?*

*— Cicho, gołąbku — syknął plantator — tam na ławce siedzi moja*

*sąsiadka, która jest straszną plotkarą. Jakby zobaczyła, że idę na*

*własnych nogach, powiedziałyby o tym moim dzieciom i dzieci odeszłyby*

**ode mnie.**

*Szarpnąłem się, ale bezskutecznie. Plantator trzymał nas mocno, po prostu wpił się w nas jak ów zły starzec z „Podróży żeglarza Sindbada”, który przyczepiał się do nieszczęsnych rozbitków na wyspie i kazał się dźwigać na plecach.*

*Nie mieliśmy innego wyjścia i posłusznie skierowaliśmy się do drzwi*

## **domu znachora.**

— *Zróbcie miejsce, dobrzy ludzie, dla ciężko chorego człowieka —  
zajęczał plantator. — Teraz moja kolejka.*

*Pacjenci rozstąpili się ze współczuciem. Bardzo się bałem, żeby  
babcie nie zauważyły Majty, ale Majta wtulił głowę w obszerne fałdy  
koszuli nocnej plantatora i jakoś udało nam się przejść.*

*Byliśmy już w drzwiach domu, kiedy ktoś mnie złapał za rękaw.*

*Obejrzałem się i zobaczyłem Dariusza Jasnobrzeskiego.*

— *Co ja widzę, chłopcy! Spełniacie posługi samarytańskie? —  
mrugnął do nas porozumiewawczo okiem. — Czy nie moglibyście  
przepuścić mnie po znajomości?*

— *Teraz jest moja kolejka i nikogo nie przepuszczę — odparł  
plantator i znów popędził nas nogą.*

*Weszliśmy w ciemny korytarz.*

— *W które drzwi się idzie do znachora? — zapytał plantator. —  
Jestem tu pierwszy raz i nie wiem gdzie iść.*

— *My też nie wiemy — odparłem.*

— *W pierwsze drzwi na lewo — usłyszeliśmy głos Dariusza*

# Jasnobrzeskiego.

*Drzwi były dość wąskie i nie moglibyśmy się zmieścić w nich wszyscy trzej naraz, plantator więc musiał mnie puścić. Odetchnąłem z ulgą, oparłem się o ścianę i z trudem łapałem powietrze. Tymczasem plantator namacał wolną ręką klamkę.*

*— Te drzwi są zamknięte na klucz — powiedział.*

*— Nic nie szkodzi — rzekł Dariusz Jasnobrzeski — służę panu pomocą.*

*To mówiąc wyciągnął z kieszeni pęk długich, dziwnych kluczy, wybrał jeden z nich, pokręcił nim w zamku i drzwi się otworzyły.*

*— Pan jest bardzo uprzejmy — powiedział plantator.*

*— Och, to zupełny drobiazg! — uśmiechnął się Dariusz Jasnobrzeski i popchnął niecierpliwie plantatora. — Proszę, niech pan szybko wchodzi, bo przeciąg.*

*Gdy tylko plantator i Majta weszli do pokoju, błyskawicznie zatrzasnął za nimi drzwi i przekręcił wytrych w zamku.*

*— Co pan zrobił?! — wykrzyknąłem.*

*— To samo, co ty z dryblasem w łaźni — odparł Dariusz Jasnobrzeski.*

*— Muszę być szybko przyjęty przez znachora, bo nie mam czasu, a ten łazarz nie chciał mnie przepuścić.*

*Z pokoju dobiegały przez chwilę wystraszone głosy plantatora i Majty, ale potem nagle wszystko ucichło. Usłyszałem tylko jakby brzęk szkła i bulgot jakiejś cieczy. Ale nie mogłem się nawet zastanowić, co to może znaczyć, bo Dariusz Jasnobrzeski przylał mi w siedzenie teczką.*

— *A ty czego tu jeszcze stoisz? Zmykaj na dwór, tam masz większe pole do popisu, praktykancie!*

*Oburzony*



**niecnym**

*postępkiem*

*Dariusza*

# Jasnobrzeskiego

*wycofałem się na dwór. Cykucki wciąż siedział między dwiema babciami.*

*Wyglądał na całkowicie zrezygnowanego. Może dlatego, że już zbliżała się jego kolejka. Zagwizdałem nasz sygnał. Nawet nie drgnął. Patrzył ponuro w ziemię, głuchy na wszystko. Co robić?! Pozostało już chyba tylko jedno...*

*Podejść do babć pilnujących Zbyszka, powiedzieć kim jestem, przyznać się do oszustwa i zetrzeć Cykusiowi tę wysypkę, czy będzie chciał, czy nie. Tak, to jest ostatni ratunek. Babcie przekonają się wtedy, że ta cała wysypka to lipa, wrócą do domu i cała afera się skończy. No... niezupełnie. Będą nas jeszcze czekały domowe przeprowadzki... Ale trudno... Trzeba się będzie poświęcić. Westchnąłem ciężko, wyjąłem chustkę z kieszeni i poszedłem namoczyć ją pod studnią. Wysypka już dobrze zaschła i chustka musi być dobrze namoczona... żeby operacja udała się gładko...*

*Wracałem właśnie z mokrą chusteczką w rękę, gdy przed domem znachora usłyszałem podniesione kobiece głosy.*

*— Ten mężczyzna z teczką wśliznął się bez kolejki! — mówiła*

## wzburzona kobieta w chustce.

— *Tak jest!* — potwierdziła druga. — *Wszedł zaraz za tym chłopem w koszuli i jakoś nie wychodzi.*

— *Przemycił się!*

— *To bezczelność! Był przecież na samym końcu!* — krzyczał staruszek z obandażowaną nogą.

— *Niech no panie idą i zaprotestują! Przecież teraz wasza kolejka!* — nalegali pacjenci na babcie pilnujące Cykuckiego.

*Popychane przez wzburzonych ludzi babcie ujęły Cykusia pod rękę i podreptały do drzwi. A więc już za późno! Chciałem rzucić się za Cykuckim, ale pacjenci odepchnęli mnie.*

— *Gdzie się pakujesz, mały?! Nie twoja kolej! Zmykaj!*

*Zrozpaczony poszedłem pod okno pokoju, w którym znachor przyjmował. Wspiąłem się na palce i zajrzałem przez szybę. Znachor badał właśnie rękę Dariusza Jasnobrzeskiego. Nie tak wyobrażałem sobie Karolusa. Wyglądał bardzo zwyczajnie. Miał okrągłą, przyjemną, gładko wygoloną twarz, małą łysinę jak mój tatuś, elegancki, szary garnitur i gustowny krawat przy białej, nieskazitelnej koszuli.*

— *A teraz niech mi pan spojrzy w oczy* — powiedział do Dariusza Jasnobrzeskiego, puszczając jego chorą rękę.

— *Po co?* — zapytał Dariusz Jasnobrzeski. — *Ja raczej nie lubię patrzeć bliźnim w oczy.*

— *To jest konieczne* — odparł znachor i pochylił się nad pacjentem. —

*Z oczu wyczytać można więcej niż z ręki.*

*Dariusz Jasnobrzęski z wyraźnym wstrętem poddał się temu badaniu. Przyglądałem mu się ciekawie i nagle omal nie krzyknąłem głośno. Tego się doprawdy nie spodziewałem. Gdy znachor wpatrywał się w oczy Dariusza Jasnobrzęskiego, bezczelny doliniarz wyciągnął mu delikatnie portfel z kieszeni w spodniach.*

*Niestychany postępek Dariusza Jasnobrzęskiego oburzył mnie dogłębnie. Znachor nie znachor, nie mogłem znieść tak ohydnej kradzieży i zabębniłem w okno.*

*Karolus przerwał badanie i podszedł zdenerwowany do okna.*

*Dałem mu znak, żeby otworzył. Karolus otworzył okno i zapytał gniewnie:*

*— Czego chcesz?*

*Ale w tym momencie rozległo się stukanie do drzwi i dały się słyszeć zniecierpliwione głosy babuń:*

*— Panie doktorze, teraz nasza kolejka. Ten pan z teczką i chorą ręką wśliznął się do pana doktora bezprawnie.*

*— Proszę nie przeszkadzać! — zawołał Dariusz Jasnobrzęski — niech pan nie zwraca uwagi na te kobiety, doktorze — powiedział do Karolusa. — Teraz była moja kolejka. — To mówiąc podszedł do drzwi i zamknął je na*

# klucz.

— *Niech pan nadstawi szybko ucha — szepnąłem do znachora. —*

*Powiem panu coś bardzo, bardzo ważnego.*

*Karolus wychylił się przez okno.*

— *O co chodzi?*

— *Ten pacjent wyciągnął panu portfel — szepnąłem pośpiesznie. —*

*Niech pan uważa, to jest Dariusz Jasnobrzeski, znany doliniarz.*

*Karolus uniósł brwi do góry ze zdziwienia, pomacał się gorączkowo po tylnej kieszeni spodni, powiedział: „O”! i spojrzał na mnie przyjaźnie.*

*Myślałem, że zaraz odbierze Dariuszowi Jasnobrzeskiemu portfel, ale on zabrał się dalej do badania oczu kieszonkowca, jak gdyby nigdy nic, po czym oświadczył:*

— *Prócz chorej ręki obserwuję u pana znacznie groźniejszą przypadłość, którą określiłbym jako zakażenie wewnętrzne.*

— *Ależ mnie nic nie jest — zdziwił się Dariusz Jasnobrzeski.*

— *Tak się tylko panu zdaje — powiedział Karolus poważnie — pan jest niebezpiecznie chory, a choroba pańskiej ręki jest skutkiem tego właśnie ogólnego zakażenia.*

*Następnie podszedł do szafki, wyciągnął stamtąd zieloną butelkę i nalał z niej do kieliszka jakiejś mętnej cieczy.*

— *Pan to wypije — powiedział. — Musimy oczyścić pana organizm za pomocą specjalnej mikstury. Pan to wypije duszkiem, po czym położy się pan na kanapce i zaraz poczuje się pan lepiej.*

— *Myśli pan?*

*Dariusz Jasnobrzęski powąchał kieliszek, widać jednak zapach  
cieczy go przekonał, bo wychylił ją jednym łykiem i posłusznie wyciągnął  
się na kanapce.*

— *Rzeczywiście — ziewnął szeroko — czuję się bardzo przyjemnie.*

*To były jego ostatnie słowa, gdyż zaraz potem zapadł w głęboki sen.*

*Karolus obszukał mu kieszenie i wyciągnął skradziony portfel.*

— *Niech pan jeszcze zajrzy mu do teczki — powiedziałem — bo zdaje  
się, że on także świsnął sweter-golf pańskiemu pomocnikowi, temu*

# **dryblasowi.**

*Karolus zajrzał do teczki i ku swemu zdziwieniu wydostał z niej  
wspaniałą golf dryblasę.*

*— Popatrz, moje dziecko — westchnął — co za nieuczciwość na  
świecie. Gdyby nie ty, padłbym ofiarą niegodziwego pacjenta. Wejdz przez  
okno, serce złote, w nagrodę poczęstuję cię nadzwyczajną miksturą  
miodową o smaku nektaru.*

*Nie miałem zupełnie ochoty na miksturę, ale postanowiłem  
skorzystać z zaproszenia, żeby znaleźć się w środku pokoju. Miałem jeszcze  
nadzieję, acz słabą, że uda mi się coś wykombinować i przeszkodzić  
zbadaniu nieszczęsnego Cykusia. No i należało uwolnić zamkniętego w  
pierwszym pokoju Majtę.*

*Wdrapałem się więc na parapet i wskoczyłem do pokoju. Tymczasem  
Karolus odpieczętował przez ten czas pękatą żółtą butelkę i napelnił z niej*

**dwa kieliszki.**

*— No to twoje zdrowie, serce złote — powiedział.*

*— Dziękuję, panie doktorze. Chętnie wypiję z panem, ale może najpierw uwolnimy plantatora i mojego kolegę, Majtę, których ten niegodziwy Dariusz Jasnobrzęski zamknął w sąsiedniej izbie — zaproponowałem.*

*— Jak to zamknął?! — zdziwił się Karolus. — Co też opowiadasz! — urwał nagle, bo znów rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi.*

*— Chwileczkę, zobaczę tylko, co tam się wyrabia — rzekł Karolus i otworzył drzwi.*

*Do gabinetu wpadły babcie, ciągnąc wierzgającego Zbyszka.*

*Nieszczęsny delikwent szarpał się i wyrywał rozpaczliwie, ale na próżno.*

*Dzielne niewiasty trzymały go mocno pod rękę. Dopiero, gdy mnie*

*zobaczył,*

*znieruchomiał*



**zaskoczony.**

*Mrugnąłem*

*do*

**niego**

*porozumiewawczo i dyskretnie wskazałem na okno.*

*— Bardzo przepraszamy, że tak wtargnęliśmy, ale nie mogliśmy już dłużej wytrzymać z tym okropnym chłopakiem — powiedziała do znachora babcia Majty. — Pan widział, jaki to dzikus.*

*— Nie szkodzi, serce złote — rzekł uprzejmie Karolus. — Niechże drogie panie spoczną. Wujcio Karolus zaraz zajmie się niedobrym chłopczykiem... Cóż to mu dolega? Och widzę, że buzię mamy jak indycze jajo! Jakie brzydkie czerwone kropki! Pokaż no się, mój chłopcze — chciał zbliżyć się do Cykuckiego, ale Cykucki począł znów niemożliwie szarpać się i wierzgać.*

*— Moje biedne dziecko! Jakie to nerwowe! — pokiwał głową znachor.*

*— Nie trzeba bać się dobrego wujka Karolusa. — To mówiąc wyjął z szuflady stołu tabliczkę czekolady i podsunął Zbyszkowi. Poczęstuj się!*

*— Nie chcę! — Cykucki odtrącił nosem czekoladę.*

*— Zdumiewasz mnie, kolego — powiedział Karolus. — Wszyscy prawdziwi sportowcy chętnie jedzą czekoladę. Czekolada krzepi.*

*Zbyszek wytrzeszczył oczy.*

*— Skąd pan wie, że ja jestem sportowcem?*

*— Jakże bym mógł nie znać czołowego hokeisty naszego miasta — uśmiechnął się Karolus. — Podziwiałem cię nieraz, mój chłopcze! Byłeś bramkarzem najwyższej klasy... Jako stary kibic, mogę coś na ten temat powiedzieć...*

*Zagadując w ten sposób zaskoczonego Cykuckiego nalał z zielonej  
flaszki do kieliszka tej samej niebezpiecznej cieczy, którą uprzednio  
zaaplikował Dariuszowi Jasnobrzeskiemu.*

*— No cóż, przyjacielu, to przykre, że nie lubisz czekolady, ale chyba  
nie odmówisz wypicia toastu na zdrowie hokeistów. Trzymaj puchar,  
bracie! — wyciągnął rękę z kieliszkiem do Zbyszka.*

*— Niech panie go puszcza — zwrócił się do babci.*

*— Ależ panie doktorze! — zaprotestowała babcia Cykuckiego. —*

*Zbyszek nie powinien pić alkoholu... Zupełnie nie rozumiem... jak pan  
może w ten sposób...*

*— Poza tym jak my go puścimy, on może uciec — zauważyła babcia  
Majty. — Pan go jeszcze nie zna...*

*— Proszę się nie obawiać — uśmiechnął się Karolus. — To jest  
specjalne wino, które jeszcze nie zaszkodziło nikomu. Nie sądzę także, by  
dzielny sportowiec zechciał nas porzucić w momencie, gdy będziemy pić  
jego zdrowie. Prawda, przyjacielu? Dogadaliśmy się już przecież. Nie  
zrobisz chyba przykrości twemu wiernemu kibicowi.*

*Babcie uwolniły niechętnie Cykuckiego. Oszołomiony chłopak  
spojrzał na mnie pytająco. Dałem mu dyskretny znak, żeby nie pił i znów  
wskazałem na okno. Zrozumiał. Błyskawicznie oderwał się od babci i  
rzucił w kierunku okna. Okazało się jednak, że Karolus miał szybki refleks.*

*Od razu odstawił kieliszek na brzeg stołu i jednym skokiem zagroził  
drogę zbiegowi. Zbyszek odskoczył w bok, chwilę kluczył między  
krzesłami, a potem dał rozpaczliwego nura pod stół. Potrącony stół*

*zachwiał się, kieliszek z miksturą o mały włos byłby spadł, ale na szczęście czy nieszczęście babcia Majty w krytycznej chwili przytrzymała go z godną podziwu przytomnością umysłu. Potem zapewne dla pewności przesunęła go dalej, tak, że znalazł się za kieliszkami znachora i moim. Tymczasem Cykucki był już na parapecie. Myślałem, że uda mu się wyskoczyć, ale w ostatnim momencie znachor złapał go za nogę i ściągnął w dół. Widząc to straciłem resztę nadziei. Zwycięski Karolus doprowadził pacjenta za kołnierz do stołu i pochwycił kieliszek. Pierwszy z brzegu. Odetchnąłem nieco. A więc Karolus nie zauważył, że kieliszki zostały przesunięte i podsunął Cykusiowi zamiast niebezpiecznej mikstury ów miodowy nektar, którym chciał mnie poczęstować w dowód wdzięczności.*

*— No, bądź grzeczny i wypij — uśmiechnął się do Zbyszka. Z wujciem Karolusem lepiej być w zgodzie.*

*— Wypij, Zbysiu — prosiła babcia Cykuckiego.*

*— Wypij, Zbysiu — prosiła babcia Majty.*

*Cykucki spojrział na mnie udręczonymi oczyma. Czulem, że opuszcza*

**go wszelki duch oporu.**

*— Możesz śmiało wypić ten kieliszek — powiedziałem głośno i mrugnąłem okiem.*

*Cykucki chyba nie bardzo zrozumiał o co chodzi, ale wypił.*

*— Ślicznie — ucieszył się znachor. — A teraz położymy się na*

# kanapce.

— *Chodź, Zbysiu — babcia pociągnęła delikwenta. Nagle wzdrygnęła się przed kanapką, zamrugła swoimi krótkowzrocznymi oczyma i pośpiesznie założyła okulary.*

— *Matko Najświętsza, kto tu leży?! Nie rusza się. Czy... to nie są przypadkiem jakieś zwłoki, panie doktorze?*

— *Ach, prawda, zapomniałem — roześmiał się Karolus. — Tam leży Dariusz Jasnobrzęski. To właśnie ten człowiek z teczką, o którego była awantura. Proszę się nie obawiać. On tylko przechodzi małą kurację. To sen leczniczy, droga pani. Niech pani łaskawie ułoży wnuka obok, na tej małej kozetce, serce złote. Zaraz się uspokoi. Biedne, nerwowe dziecko, z pewnością opowiadała mu pani straszne bajki, jak był mały.*

— *To prawda — przyznała babcia Cykuckiego. — Opowiadałam. Ale co miałam robić, kiedy on tak je lubił, a najbardziej — o duchach.*

— *I oto skutki — westchnął Karolus.*

— *Myśli pan, że ta wysypka to też nerwowe? — zapytała babcia. — On mi się wydaje zbyt żwawy, jak na chorego na szkarlatynę.*

— *Nie, to szkarlatyna, tylko dziwnie skomplikowana — znachor przyglądał się zdumiony Cykusiowi, który nie tylko nie usnął, ale, wstyd powiedzieć, dłubał sobie bezwstydnie w nosie. — Dziwne, że jeszcze lekarstwo nie działa. Nadzwyczaj odporne dziecko. Można powiedzieć fenomen! — zaskoczony począł wykonywać jakieś posuwiste ruchy dłońmi*

## **po skroniach Zbyszka.**

— *Uspokój się, drogie dziecko. Nie ma duchów. Są tylko dwie miłe babcie i dobry wujcio Karolus. Jesteś bezpieczny, spokojny i senny. Bardzo senny... Nic już nie czujesz... nie słyszysz.*

— *Nieprawda! Coś słyszę!* — *zawołał Cykucki.*

*Istotnie w tym momencie gdzieś za ścianą rozległy się zdławione żalosne jęki, jakieś stąpania ciężkie i postękiwania...*

*Cykucki usiadł nerwowo na kozetce.*

— *Zdaje ci się* — *chrząknął zmieszany nieco Karolus.* — *Nie możesz nic słyszeć. Uspokój się, chłopcze. U dobrego wujcia Karolusa nie ma duchów.*

— *Czy jest pan pewien?* — *zapytała babcia Cykuckiego rozglądając się z lękiem.* — *Ja też coś jakbym słyszała...*

— *Nie rozumiem pani wątpliwości, serce złote.*

— *Pan doktor nic nie słyszał?*

— *Nie. Ręczę pani...* — *urwał nagle zakłopotany, bo oto stękania i głuchy odgłos kroków znów powtórzyły się, tym razem gdzieś nad nami.*

*Zrobiło mi się wyraźnie nieswojo.*

— *Jezus Maria* — *przeżegnała się zabobonnie babcia Cykuckiego.*

— *Nic, tylko duch. Duchy tak robią* — *jęknęła babcia Majty.*

*Karolus chrząknął zdenerwowany.*

— *Niech pani nie opowiada głupstw, serce złote.*

— *Pan doktor nie wierzy w duchy? A ludzie mówili, że pan...*

— *Nie trzeba wierzyć. To są wstrętne plotki. Jestem człowiekiem  
nowoczesnym. Moja siła polega wyłącznie na głębokiej wiedzy i*



**wrodzonym talencie.**

*Niestety „siły nadprzyrodzone” znów dały znać o sobie. Lampa wisząca nad stołem zakolysała się leciutko. Wszyscy w pokoju*

**znieruchomieli.**

*— Rzeczywiście coś słyhać — Karolus spojrział zdziwiony w górę. —*

*Cóż tam się wyrabia, u licha? Niech się panie nie boją, zaraz sprawdzimy.*

*— Nie... niech pan lepiej nie sprawdza! — krzyknęły babcie.*

*Ale Karolus wszedł już na schodki prowadzące z kąta pokoju, na*

*stryszek. Obie babcie, Cykucki na kozetce i ja obserwowaliśmy go w*

*napięciu. W suficie nad schodkami znajdowała się kłapa zamykająca*

*wejście na górę. Karolus otworzył ją i ostupiał. My, też ostupieliśmy, bo*

*oto w otworze pojawiła się biała powłóczysta postać...*

*Obie babcie wydały przeraźliwy okrzyk i wybiegły w popłochu z*

**pokoju.**

— *Coś takiego!* — *wybełkotał Karolus.*

*Wzdrygnął się nerwowo, zbiegł z drabiny. Znów spojrzął w górę i przetarł oczy, a potem drżącą ręką sięgnął po kieliszek na stole i wychylił go pośpiesznie.*

— *Jestem przepracowany* — *jąknął* — *to złudzenie optyczne.*

*Jednakże zjawa nie tylko nie zniknęła, ale zaczęła pomału schodzić stopień po stopniu w dół, ciągnąc za sobą długie białe szaty. Co więcej, za nią pojawił się drugi duch. Znacznie mniejszy, ale też ubrany na biał.*

*Tymczasem z Karolusem zaczęły się dziać jakieś niepokojące rzeczy.*

*Zatoczył się po pokoju i bełkocząc osunął się na fotel.*

*Dopadłem do niego.*

— *Co panu jest?! — wykrzyknąłem.*

— *Umieram, moje złotko — jęknął niewyraźnie. — Lekarza!*

*Wezwijcie doktora Otrębusa!*

*Głowa opadła mu bezwładnie na ramiona. Zrozumiałem.*

*Nieszczęsny wypił przez pomyłkę miksturę przygotowaną dla Zbyszka.*

*Tymczasem oba duchy, większy i mniejszy, przededefilowały chwiejnym krokiem przez pokój, stanęły w oknie i oparłszy się o parapet zaczęły oddychać głęboko i ciężko, pojękując żałośnie. Silny przeciąg zdmuchnął w pewnej chwili zasłonę z głowy mniejszego ducha, a ja i Cykucki wytrzeszczyliśmy oczy ze zdumienia.*

— *Majta, to ty?! —*

*Istotnie, to był Majta, tylko śmiertelnie blady i na pół przytomny.*

*— Biedaku, co ci się stało?! — doskoczyliśmy do niego.*

*Majta powoli wracał do siebie i począł ściągać z siebie białe szaty ducha, które okazały się prześcieradłami i poszwami. Musiał zaczepić o nie, gdy błądził po strychu i okręciły się wokół niego.*

*— To wszystko przez tego okropnego plantatora — wymamrotał dysząc ciężko. — Kiedy Dariusz Jasnobrzęski zamknął nas w tej wstrętnej izbie plantator z początku bardzo się zdenerwował. Dobijał się do drzwi i strasznie krzyczał, ale potem zauważył na półkach jakieś butelki, odkorkował jedną, skosztował i od razu się uspokoił, a potem próbował wszystkie po kolei, zwłaszcza te, co pachniały wódką.*

*— Pan jest wstrętnym alkoholikiem! — spojrzałem z oburzeniem na plantatora, który niemrawo rozbierał się z bielizny pościelowej. — Nic dziwnego, że pan stracił zdrowie.*

*— He, he! — zaśmiał się plantator.*

*Był jeszcze niezupelnie trzeźwy.*

*— Ale ty też jakoś dziwnie wyglądasz — spojrzałem podejrzliwie na Majtę. — Czy ty przypadkiem nie piłeś razem z nim?*

*— Ja? — zmieszał się Majta. — Ja tylko... tak trochę... naprawdę, zupełnie niedużo. Próbowałem tylko z ciekawości.*

*— Jak mogłeś! — zawołałem wstrząśnięty. — Okazałeś, Majta, słabą wolę! Wiesz?!*

*— Wiem... — Majta pociągnął nosem żałośnie — wiem, że okazałem słabą wolę, ale bardzo chciało mi się pić i plantator mnie namówił, żeby*

*spróbował jednego winka. Powiedział, że to mnie wzmocni.*

*— Mogłeś się przecież otruć! Już nie mówię, że upić, ale po prostu otruć. Znachor na pewno tam trzymał te swoje okropne mikstury.*

*— Tak — jęknął skruszony Majta — mogłem się otruć i chyba się otrułem. Bo jak tylko się napiłem, zrobiło mi się okropnie niedobrze i czułem się jak zdrewniały i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. I plantator też się chyba zatrul, bo zaczął stękać i jęczeć; szukaliśmy jakiegoś wyjścia, żeby się wydostać na świeże powietrze i natrafiliśmy na schody. Więc poszliśmy tymi schodami na górę i znaleźliśmy się na strychu pełnym suszącej się bielizny. Straciliśmy zupełnie orientację i zaplątaliśmy się w tę bieliznę.*

*Zwierzania Majty przerwał głośny szklany dźwięk.*

*To plantator chodził po pokoju w swojej nocnej koszuli z zieloną butelką w ręce i dzwonił o nią kieliszkiem. Rzuciliśmy się do niego przestraszeni i wyrwaliśmy mu butelkę.*

*— Niech pan się lepiej prześpi — powiedziałem.*

*Plantator chwiejnym krokiem podszedł do kanapki, na której leżał Dariusz Jasnobrzesci i położył się na nim.*

*— On jest jeszcze bardzo zatruty — szepnął Majta.*

*— Co pan robi?! — krzyknąłem. — Nie widzi pan, że tam śpi pacjent?*

*— A rzeczywiście, coś mnie uwiera — powiedział plantator.*

*Wstał i począł ściągać za nogi Dariusza Jasnobrzesciego z kanapy.*

*Dobiegliśmy do niego i odebraliśmy mu uspiętego kieszonkowca.*

*— Niech go pan zostawi. On jest ciężko zatruty!*

*Wzięliśmy plantatora pod ramiona i ulokowaliśmy go na kozetce.*

*— Siał jutro będziem — ziewnął, zamknął oczy i natychmiast zapadł w głęboki sen.*

## **ROZDZIAŁ VIII**

*Rozglądaliśmy się zakłopotani po pokoju. Widok był niesamowity.*

*Na kanapie leżał bezwładny Dariusz Jasnobrzeski, z fotela zwisał tragicznie znachor Karolus, a na kozetce wyciągnięty jak struna plantator w długiej białej koszuli. Wszyscy trzej nieruchomi, podobni raczej do umarłych niż do śpiących...*

*— Oni chyba już nie oddychają — szepnął Majta.*

*Podbiegliśmy, każdy z nas do innego śpiącego. Pochyliliśmy się nad nimi i nasłuchiwaliliśmy ich oddechów i bicia serca.*

*— Żyje — powiedział Cykucki przykładając ucho do piersi znachora.*

*— Plantator też — stwierdził Majta trzymając za puls chłopca.*

*— I Dariusz Jasnobrzeski — dodałem przykładając lusterko do ust*

**znanego kieszonkowca.**

*W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzał głodomór, którego widzieliśmy uprzednio na wozie.*

*— Co tu się dzieje? — wybełkotał rozglądając się ciekawie.*

*— Nic specjalnego — powiedziałem szybko.*

*— A gdzie te duchy? Podobnież miały się objawić duchy. Babcie mówiły...*

*— Nie ma żadnych duchów, są tylko chorzy. Niech pan zamknie*

**drzwi i czeka na dworze.**

— *A doktor będzie przyjmował? Bo teraz moja kolejka.*

— *Niech pan czeka cierpliwie — powiedziałem.*

*Głodomór wycofał się i zamknął drzwi.*

— *Uciekajmy lepiej — szepnął wystraszony Majta.*

— *Nie możemy zostawić tych ludzi — potrząsnąłem głową. — Oni*

*przecież są chorzy. Karolus prosił, żeby wezwać lekarza. I tych na dworze*

*też nie można tak zostawić. Niektórzy są na pewno bardzo chorzy.*

— *No, to biegnijmy po lekarza.*

— *Wszyscy trzej nie możemy. Ktoś musi zostać, bo inaczej cała*

*sprawa może się pokielbasić...*

— *Dlaczego?*

— *Zrozum, ci chorzy przyjechali do znachora... Jak zobaczą, że*

*znachor zachorował, to gotowi jechać i... i... poumierać. Niektórzy już*

*mogą poumierać w drodze, bo są bardzo chorzy. Dlatego ktoś musi zostać,*

*żeby ich zatrzymać, póki doktor Otrębus nie przybędzie.*

— *Więc kto zostanie, a kto pójdzie po doktora Otrębusa?*

— *Ja i Majta zostaniemy, a ty, Zbyszek, pobiegiesz po doktora.*

— *Dlaczego ja? — zapytał Cykucki.*

— *Bo ty nie możesz zostać. Pamiętaj, że tu jest twoja babcia. Pewnie*

*już niedługo otrząśnie się ze strachu i wróci po ciebie. Co wtedy zrobisz?*

*Będą nowe komplikacje. Już lepiej biegnij po doktora.*

— *No, dobrze, pobiegnę — zgodził się Cykucki przestraszony*



*możliwością pojawienia się babki — ale przedtem zmyję sobie wysypkę.*

*Mam już dość tej wysypki.*

*— Teraz jeszcze nie zmywaj — powiedziałem. — Wysypka może dobrze wpłynąć na doktora Otrębusa. W razie gdyby ci Otrębus nie wierzył, powiesz, że znachor leczy taką wysypkę. Wtedy Otrębus przestraszy się i na pewno przyjedzie. I powiedz mu jeszcze, żeby przyjechał z karetką pogotowia, albo jeszcze lepiej z wielkim ambulansem szpitalnym, bo dużo pacjentów znachora jest bardzo ciężko chorych i trzeba ich od razu zabrać do szpitala. I przypilnuj, żeby Otrębus się pośpieszył, inaczej nie odpowiadamy za to, co się stanie. A mogą tu się jeszcze dziać straszne rzeczy.*

*— Dobrze — odparł przejęty ważnością swojej misji Cykucki i ruszył*

**do drzwi.**

*— Nie tędy — zatrzymałem go — chcesz wpaść w ręce babci? Już lepiej wyjdź przez okno.*

*Dobrze zrobiliśmy, że jego właśnie wystaliśmy, bo ledwie zniknął za oknem, do pokoju zajrzały obie babcie. Na szczęście Majta w ostatniej chwili zdołał się ukryć za kanapą i babcie go nic zauważyły. Wyjaśniłem babciom, że znachor zachorował i że Cykucki pobiegł po lekarza.*

*— Mogą panie poczekać na niego na ławeczce — dodałem. — On chyba zaraz wróci z doktorem Otrębusem.*

*Ale babcie wołały nie czekać. Spojrzawszy z lękiem na bezwładnego Karolusa powiedziały, że wracają do domu.*

*— Ta wysypka to chyba nie szkarlatyna — uspokajała babcię Cykuckiego babcia Majty — jakby to była szkarlatyna, to by Zbyszek nie mógł tak biegać. To chyba z nerwów.*

*— Tak, to chyba z nerwów — zgodziła się babcia Cykuckiego.*

*I obie wycofały się pośpiesznie, jakby się bały, żeby ich doktor Otrębus tu nie zastał. Z pewnością wstyd im było, że szukały pomocy u*

# **znachora.**

*Odetchnęliśmy obaj z Majtą, ale okazało się, że nie na długo... Oto bowiem na dworze znów podniosły się niespokojne głosy. Zbyt długotrwała przerwa w badaniach zaniepokoiła widać pacjentów. Po chwili rozległo się stukanie do drzwi.*

*— Kto tam? — zapytałem.*

*— Co z przyjęciami? — usłyszeliśmy głos głodomora — jak długo jeszcze będziemy czekać. Ludzie się denerwują.*

*— Już zaraz będziecie przyjęci — odparłem.*

*— A dlaczego nie teraz?*

*— Bo... bo... — zająknąłem się.*

*— Bo pan Karolus je teraz podwieczorek — wypalił Majta.*

*— A długo będzie jadł? — zapytał chłop głodomór.*

*— Nie... już niedługo.*

*Chłop odszedł, mrużąc niezadowolony.*

*— Co ci wpadło do głowy z tym podwieczorkiem? — zapytałem Majty.*

*— Coś przecież musiałem powiedzieć. Jakbym powiedział, że Karolus jest chory, to by ludzie odeszli, a ty powiedziałaś, że koniecznie trzeba ich zatrzymać.*

*— Ale czy musiałeś od razu wyjechać z podwieczorkiem?! —*

*powiedziałem zdenerwowany.*

*— Dlaczego to cię tak złości? — zdziwił się Majta.*

*— Bo ja jestem głodny, a ty musiałeś mi przypomnieć. Teraz jestem*

*dwa razy więcej głodny — odruchowo oblizałem wargi.*

*Majta też oblizał swoje wargi.*

*— Nie małpuj mnie! — warknąłem.*

*— Ja wcale nie małpuję, tylko też jestem głodny. I chyba dlatego wspomniałem o tym podwieczorku, bo babcia mówi, że głodnemu chleb na myśli.*

*— Nie jesteś tak głodny jak ja — powiedziałem. — Ja w ogóle nie jadłem obiadu i nie miałem nic w ustach od śniadania.*

*— Tu leży jakaś czekolada — powiedział Majta i sięgnął po nienaruszoną tabliczkę, którą znachor chciał częstować Cykuckiego. Weź ją i zjedz.*

*Wziąłem czekoladę i przelałem na pół.*

*— Podzielmy się — zaproponowałem szlachetnie, choć głos mi zadrżał, prawdopodobnie z powodu tej mojej niezwyklej szlachetności.*

*— Nie, ty zjedz całą — potrząsnął głową Majta. — Ty nie jadłeś*

**obiadu.**

— *Bierz połówkę i nie bądź taki szlachetny! — rozzłościłem się.*

— *Nie wezmę.*

— *Bierz, bo cię palnę!*

— *Żebyś ja cię nie palnął.*

*Nie wiadomo, czym by się zakończył ten szlachetny spór, ale w tym właśnie momencie natrętny chłop głodomór znów dał znać o sobie.*

— *No i jak? — zapytał przez drzwi.*

— *W porządku — odpowiedziałem.*

— *Pan Karolus już zjadł podwieczorek?*

— *Tak, już zjadł, ale teraz śpi. Niech pan jeszcze zaczeka.*

*Chłop umilkł na chwilę. Widać jego cierpliwość już się wyczerpała, bo otworzył drzwi i wtargnął do pokoju. Za nim wsadziły głowy kobiety w*

**chustkach.**

*Pospiesznie schowałem czekoladę do kieszeni.*

*— Niech pan wyjdzie! — krzyknąłem. — Przecież pan widzi, że pan*

*Karolus śpi.*

*Głodomór spojrział na znachora zwisającego z fotela i zamrugał z*

*wrażenia oczyma.*

*— To prawda, śpi. Ale jakoś dziwnie śpi.*

*— Każdy śpi jak może — powiedziałem.*

*— A tamci? — głodomór pokazał na Dariusza Jasnobrzęskiego i na*

# plantatora.

— *Tamci też śpią.*

— *Po co śpią?*

— *To sen leczniczy. Karolus ich uśpił.*

— *Aha — bąknął głodomór. — Ale dlaczego Karolus też śpi?*

— *On urządza sobie co dzień taką drzemkę. To jego zwyczaj.*

— *Wczoraj nie spał — powiedziała jedna z kobiet w chustce.*

— *Oni coś kręcą — wtrąciła druga.*

— *Niedobrze im z oczu patrzy — zauważył dziadek z obandażowaną nogą. — Mogli coś zrobić Karolusowi.*

— *Wygląda jak nieżywy.*

— *Kim oni są właściwie? — zapytał dziadek z obandażowaną nogą.*

— *Co wy tutaj robicie? — zapytała podejrzliwie kobieta w chustce i zaczęła zbliżać się do nas pomału. Za nią postępowali pozostali chorzy. Ich wzrok nie wróżył nic dobrego.*

*Zrobiło nam się gorąco. Nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć i jak się wytłumaczyć. Rozeźleni pacjenci gotowi byli oskarżyć nas o zamach na znachora. Przemawianie im do rozsądku też chyba nie pomoże. To byli przecież ludzie nierozsądni. Czy rozsądny człowiek wierzyłby w znachora?*

*Cofnęliśmy się wystraszeni. Już chcieliśmy wyskoczyć przez okno i ratować się ucieczką, gdy wtem z niespodziewaną pomocą przyszedł nam ów chłop głodomór.*

— *Ludzie, uspokójcie się — powiedział. — Co wy chcecie od tych*

*chłopaków? To przecież znachorczyki.*

*— Jak to znachorczyki? — zawahała się kobieta w chustce.*

*— No, pomocniki znachora.*

*— Skąd pan wie?*

*— Widziałem przecież, jak badali przy znachorze. Tego chłopca w koszuli badali i tego z teczką, co leży na kanapie.*

*— Badacie chorych? — zapytała nas podejrzliwie kobieta w chustce.*

*— Ba... ba... badamy — wykrztusiłem.*

*— Możemy panią zbadać — powiedział Majta.*

*— Dziękuję. Już wolę poczekać, aż się znachor obudzi. Długo będzie tak spał?*

*— Najwyżej kwadrans.*

*Pacjenci wycofali się z pokoju za wyjątkiem chłopca głodomora.*

*— A pan czemu nie wychodzi? — zapytałem.*

*Głodomór zawahał się.*

*— Wiecie, pomyślałem sobie, że moglibyście mnie zbadać. Jako*



## **znachorczyki bierzecie chyba taniej.**

*Zaskoczył nas tą niespodziewaną propozycją.*

*— Co tak patrzycie? — powiedział zniecierpliwiony głodomór. —*

*Macie już chyba jakąś praktykę?*

*— Tak, mamy, ale...*

*— No, to mnie zbadajcie. Ciekaw jestem, co też powiecie. Bo znachor mówi, że ja mam włos w żołądku.*

*— Włos w żołądku! — spojrzałem przerażony na Majtę.*

*— Tak, włos w żołądku. Mam go już pół roku i jakoś nic mi nie pomaga. Żadne leki i jestem coraz słabszy.*

*— A co panu znachor przepisał?*

*— Różne lekarstwa, zakazał mi też jeść czegokolwiek za wyjątkiem kaszki manny, póki tego włosa nie spędzi. Do świętego Jana mam być na takiej diecie, ale widzi mi się, że nie wytrzymam do świętego Jana, bo kaszka mi już rośnie w ustach i bardzo osłabłem. Więc przyjechałem, żeby mi zmienił tę dietę. Co się tak patrzycie? — zapytał z nagłą podejrzliwością.*

*— Niemądrze jakoś wyglądacie. Możecie wy faktycznie nie znachorczyki?*

*— Nie, my jesteśmy znachorczyki — zapewnił go wystraszony Majta.*

*— Zaraz pana zbadamy. Niech się pan położy.*

*— Gdzie?*

*Rzeczywiście, nie miał się gdzie położyć. Kanapka i kozetka były zajęte.*

*— To nic, zbadamy pana na stojąco — powiedział Majta. — Jarek,*

**zbadaj pana.**

— *Ja? Dlaczego ja?*

— *Bo ty jesteś od chorób wewnętrznych — powiedział Majta — ja się zajmuję tylko ortopedią.*

— *Wygodny jesteś.*

*Spojrzałem na niego ciężkim wzrokiem. Nigdy nie przypuszczałem, że Majta potrafi tak wrabiać z zimną krwią. Obawiając się jednak, że głośna dyskusja na temat naszych specjalności źle wpłynie na pacjenta, zawiąłem rękawy i zbliżyłem się do głodomora.*

— *Aaa! — krzyknął chłop.*

*Cofnąłem się spłoszony.*

— *Czemu pan krzyczy, przecież jeszcze nawet nie dotknąłem pana.*

— *To dlatego, że boję się badania — wyznał zawstydzony głodomór.*

— *Prawdę mówiąc to mam od małości laskotki i muszę się śmiać, jak mnie ktoś dotyka w gołe ciało. Osobliwie w dołek. A potem śmieję się przez pół godziny i nie mogę przestać. Dlatego wstydzę się chodzić po miastowych doktorach i wolałem pójść do Karolusa, bo on bada z oczu.*

*Może ty byś mnie też zbadał tylko z oczu, co?*

*Obawiając się, że półgodzinny śmiech głodomora byłby rzeczywiście trudny do zniesienia, zrezygnowałem z badania za pomocą rąk, czyli obmacywania i powiedziałem:*

— *Dobrze, zbadam pana z oczu. Niech pan wytrzeszczy oczy.*

*Głodomór wybałuszył oczy, a ja westchnąłem ciężko i przez chwilę*

*wpatrywałem mu się uważnie w źrenice. Potem odszedłem w kąt pokoju.*

*— Co zobaczyłeś? — zapytał zaciekawiony Majta.*

*— On ma bardzo nieszczęśliwe oczy — szepnąłem.*

*Głodomór spoglądał na nas z niepokojem.*

*— No i co będzie ze mną? — zapytał.*

*— Wszystko będzie dobrze — odparłem. — Niech pan się nie martwi.*

*— Dacie jakieś lekarstwo?*

*Spojrzałem na Majtę zakłopotany, ale Majta nie stracił rezonu.*

*— Zaraz przygotujemy panu coś skutecznego — powiedział. Niech pan chwilę poczeka.*

*To powiedziawszy pociągnął mnie w stronę drzwi wiodących do*

## **kuchni Karolusa.**

*— Co chcesz zrobić? — szepnąłem.*

*— Właż do kuchni — powiedział. — Musimy przecież upitrasić pacjentowi jakieś lekarstwo.*

*— Oszalałeś! — syknąłem.*

*— Cicho bądź! — Majta wepchnął mnie do kuchni i zamknął drzwi. —*

*Jak się zbadalo, to trzeba leczyć. Musimy dać temu chłopu jakieś lekarstwo. Jak mu nie damy, to będzie się awanturował i wtedy wszystko*

**na nic...**

— *Nie mogę mu przecież dać lekarstwa, jak nie wiem, co mu jest.*

*Jeszcze mu zaszkodzi i co wtedy? Doktor Otrębus miał u nas w zeszłym miesiącu pogadankę w szkole i mówił, że z chorymi trzeba ostrożnie.*

*Najważniejsze przykazanie lekarza jest: „nie szkodzić”.*

— *No, ale coś musimy zrobić dla tego chłopca.*

— *Jedyne, co możemy zrobić, to mu nie zaszkodzić. Ja myślę, że to i tak będzie dużo, bo Karolus to mu na pewno zaszkodził. Ten chłopak wygląda, jakby miał dzisiaj w nocy umrzeć.*

— *To prawda, żal na niego patrzeć — zamyslił się Majta. — Słuchaj, a jakby go tak nakarmić?*

— *Co ty opowiadasz! On ma przecież włos w żołądku i nic nie może jeść.*

— *Widziałeś ten włos?*

— *No, nie.*

— *A znachor jak widział? Prześwietlał go? Nie zauważyłem, żeby miał u siebie aparat rentgenowski. Ja ci mówię, że ten włos to wymysł znachora, żeby ciągnąć od biedaka pieniądze.*

— *Karolus nie bierze pieniędzy — zauważyłem. — Głodomór przywozi mu prosięta.*

— *No więc prosięta. To na jedno wchodzi. W każdym razie ja bym się nie przejmował tym włosiem i dał głodomorowi coś do zjedzenia.*

— *Ale tylko na próbę — zastrzegłem.*

— *Oczywiście. Zrobimy małą próbę naukową — odparł poważnie*

# Majta.

— *Więc co mu damy?*

— *Może tu się coś znajdzie.*

*Zaczęliśmy rozglądać się po kuchni i szukać żywności, ale okazało się, że daremnie. Stała tu wprawdzie ogromna lodówka, ale była zamknięta na klucz. Również szafa ścienna była zamknięta. Znaleźliśmy tylko na półce przy piecu pudełko z solą, torebkę pieprzu i nieco*

**sproszkowanego cynamonu.**

*— No i co będzie — zapytałem rozczarowany. — Cynamonem i solą go*



**nie nakarmimy.**

*— Jest jeszcze pieprz i mleko — zauważył Majta.*

*— Mleko? Gdzie?*

*— Tam za oknem — Majta pokazał na smutną kozę uwiązaną przy płocie.*

*— Myślisz, że to jest koza dojna? — zapytałem z powątpiewaniem.*

*— Można by sprawdzić. Myślę, że ty...*

*— O nie — przerwałem mu gwałtownie — w to mnie nie wrobisz!*

*Sprawdź sam.*

*— Proszę bardzo — wzruszył ramionami Majta — od razu widać, że nie nadajesz się na Robinsona Cruzoę. Kto boi się kóz, nie może być Robinsonem. Wiesz, że Robinsona utrzymało przy życiu kozie mleko?*

*— Wcale nie boję się kóz — rzekłem zmieszany — i mógłbym być Robinsonem. Podaj mi jakiś garnek — zaproponowałem bohatercko — a zaraz ci udowodnię. Nie wiem natomiast, czy ty mógłbyś być Robinsonem.*

*O ile mi wiadomo, Robinson nie tylko doił kozy, ale także pił mleko kóz. Za pięć minut poczęstuję cię ciepłym mlekiem wprost od kozy i wtedy się*

**przekonamy.**

*Majta wzdrygnął się wyraźnie.*

*— Nnnie jestem raczej głodny — oświadczył i znów się otrząsnął.*

*— Masz dreszcze? Uważaj, bo dostaniesz głodowej czkawki. Sądzę, że gęste, tłuste mleko kozie dobrze by ci zrobiło.*

*— Przestań! — jęknął Majta — powiedziałem, że nie jestem głodny.*

*— Niedawno byłeś tak głodny, że chciałeś zjeść czekoladę znachora.*

*— Czekoladę! — Majta złapał mnie gwałtownie za rękę. —*

*Przypomniałeś mi! Gdzie masz tę czekoladę?!*

*— Nie wiem...*

*— Zobacz, czy nie wsadziłeś jej do kieszeni!*

*Włożyłem rękę do kieszeni i palce ugrzęzły mi w lepkiej, śliskiej*

**masie.**

— *Chyba się roztopiła — powiedziałem zmartwiony*

— *Pokaż!*

*Wyciągnąłem niekształtną bryłę czegoś brunatnego.*

— *Poczęstujesz się?*

— *Nie... ja dla głodomora...*

— *Nie damy mu chyba tego?!*

— *Dlaczego nie? — powiedział Majta. — Zrobimy z tego pigułki.*

— *Pigułki? Co ci strzeliło do głowy?!*

— *I tak musielibyśmy zrobić z tej czekolady pigułki. A ty myślałeś, że po prostu dalibyśmy mu do zjedzenia czekoladę? Nie, bracie, czekolady zwyczajnej to on by nie zjadł.*

— *A pigułki zje? — spojrzałem na rozbabraną czekoladę i zrobiło mi się niedobrze.*

— *Pewnie, że zje — odparł z przekonaniem Majta. — Pigułki to zupełnie co innego. Pigułki to lekarstwo, tym bardziej, że w tych pigułkach nie będzie tylko sama czekolada.*

— *A co będzie?*

*Majta odchrząknął poważnie.*

— *Pigułki muszą zawierać kilka składników. Dodamy do czekolady*

## **jeszcze cynamonu i pieprzu.**

— *Zwariowałeś! Cynamon jak cynamon, ale pieprz?! Czekolada z pieprzem?! Kto to przelknie!*

— *Ech, nic się nie znasz — zdenerwował się Majta. — To musi mieć dziwny smak. Wszystkie lekarstwa mają dziwny smak. Jakby to smakowało tylko czekoladą, to pacjent byłby rozczarowany. Nie możemy rozczarowywać pacjenta.*

— *Dobrze, rób jak chcesz — machnąłem ręką zrezygnowany.*

*Wiedziałem, że nie przekonam Majty.*

— *Ty będziesz robił! — odparł spokojnie Majta.*

— *Znowu mnie wrabiasz?!*

— *Kto tu kogo wrabia? Czy to ja zachorowałem na wysypkę szkolną, czy ty i Cykucki? Zresztą, ty masz już i tak pobrudzone ręce.*

*Wobec tego argumentu musiałem ustąpić.*

— *Dawaj łapy — powiedział Majta. — Nasypię ci cynamonu i pieprzu.*

— *Nie tak dużo! — przestraszyłem się, gdyż Majta wysypał mi na dłonie całą zawartość pudełka i torebki.*

— *Nie szkodzi, lekarstwo będzie silniejsze. Nasypię jeszcze soli.*

— *Daj spokój — odepchnąłem go. — Tego by już nie przelknął nawet głodomór!*

— *No, to ucieraj — powiedział Majta.*

— *Jak mam ucierać?*

— *Ojej, co za niezdara! Musisz przecież to wszystko wymieszać z*

*masą czekoladową. Najpierw utrzyj, a potem ugnieć.*

*Utarłem, a potem ugniotłem.*

*— Teraz podziel masę na kawałki — komenderował Majta.*

*Podzieliłem.*

*— Teraz z każdego kawałka zrób pigułkę.*

*Utoczyłem siedem pigulek. Majta włożył je do pudełka po cynamonie.*

*Umyłem ręce i wróciliśmy do naszego pacjenta.*

*— Już mamy lekarstwo — powiedział Majta. — Niech pan to zje! —*

*podsunął głodomorowi sporządzony przeze mnie specyfik.*

*— Co to jest? — wzdrygnął się chłopina.*

*— Specjalne pigułki na pana chorobę.*

*— Ile mam zjeść?*

*— Ile pan potrafi.*

*Głodomór zażył jedną pigułkę. Obserwowaliśmy go ciekawie. Nawet*

*się nie skrzywił. Musiał być bardzo głodny. Potem zjadł drugą i trzecią, z*

*coraz większym apetytem.*

*— Zjem wszystkie — oświadczył.*

*— Niech pan zje — powiedział Majta.*

*Głodomór spałaszował wszystkich siedem pigulek.*

*— Jak się pan czuje? — zapytałem ciekawie.*

*— Dobrze. Tylko mnie coś piecze.*

*— To znaczy, że lekarstwo działa — powiedział Majta — teraz może*

*pan już wszystko jeść i pić.*

*— Nie zaszkodzi? Mam przecież tego włosa...*

*— Już pan nie ma. Włos został spędzony — powiedział Majta. — Jak pan wróci do domu, niech pan ugotuje kurę i zje na kolację. To dobrze*

**panu zrobi.**

— *A pierogi też można? Bardzo lubię pierogi z serem.*

— *Może pan zjeść także pierogi.*

*Głodomór poweselał. Potem chrząknął i zapytał:*

— *To ile się należy za kurację?*

— *Nic się nie należy. Pana i tak to wszystko drogo kosztowało. Niech pan wraca do domu i nie myśli więcej o chorobie.*

*Głodomór wymamrotał pod nosem jakieś podziękowania i ruszył do drzwi. W drzwiach zatrzymał się jeszcze.*

— *To ja jutro przywiozę tu mojego Stefka. Coś mu się stało w nogę...*

*Cała spuchła w kolanie... Obejrzyście go.*

— *Niech pan jedzie do lekarza — wykrztusiłem przerażony.*

— *Nie, wolę do was — uśmiechnął się i zniknął za drzwiami.*

— *Ładna historia — powiedziałem.*

*Ale nie mieliśmy czasu zastanawiać się dłużej nad tą nową komplikacją, bo na dworze rozległ się warkot motoru.*

— *Doktor Otrębus przyjechał! — zawołał Majta.*

*Wypadliśmy na podwórze. Z ambulansu wysiadł najpierw doktor*

*Otrębus, a za nim Cykucki, już bez wysypki. Doktor Otrębus trzymał go za rękę i miał groźną minę. Bardzo nas to zaniepokoiło.*

— *Więc jednak nie kłamałeś — powiedział doktor Otrębus do*

*Cykuckiego, patrząc po spłoszonych pacjentach znachora. — Widzę, że mój kolega Karolus ma bardzo duże wzięcie. Doprawdy, trudno uwierzyć...*

— *Niech pan doktor nic nie mówi — przerwaliśmy mu szybko, bojąc się, że spłoszy nieszczęsnych pacjentów. — My wszystko wytłumaczymy.*

*Proszę wejść tylko do domu. Majta, zaprowadź pana doktora.*

*Majta poprowadził doktora Otrębusa, a ja zatrzymałem Cykuckiego.*

— *No i co? Łatwo ci poszło?*

— *Nie pytaj lepiej — jęknął zmalretowany Cykucki słabym głosem. —*

*Ładnie mnie wrobiliście!*

— *A gdzie podziałeś swoją wysypkę?*

— *Umyli mnie. Otrębus od razu poznał, że to wymalowane. Był pewny, że robimy mu jakiś kawał. Nie chciał w ogóle uwierzyć w tę hecę ze znachorem, dopiero jak mu opowiedziałem całą prawdę o naszej wysypce szkolnej, uwierzył, chociaż niezupełnie.*

— *Jak myślisz, powie panu Kwasowi albo panu kierownikowi? — zapytałem z niepokojem.*

— *Nie wiem... On jest bardzo surowy. Może powiedzieć.*

— *No, to ładnie będziemy wyglądać!*

*Tymczasem oszołomionych zrazu pacjentów znachora ogarnął z kolei widoczny niepokój. Staruszek z zabandażowaną nogą zerwał się z ławki i począł spacerować nerwowo wokół ambulansu, zaglądając do niego podejrzliwie, a kobiety w chustkach zbiły się w ciasną gromadkę i rajcowały podniecone. Nawet niemowlę poczęło się drzeć wniebogłosy...*

*Wreszcie jedna z kobiet podeszła do mnie i zapytała poufnie:*

— *Nie wiesz, po co to przyjechał ten doktor?*

*Zrobiłem zagadkową minę.*



— *Nie mogę tego powiedzieć.*

*Kobiety otoczyły mnie ciekawie.*

— *No, nie bój się, powiedz! — nalegały.*

— *Ale nie zdradzaj panie nikomu? To się nie powinno roznieść.*

— *Nie puścimy pary z ust! Możesz być spokojny!*

— *Doktor Otrębus przyjechał do Karolusa — ściszyłem tajemniczo*

*głos. — Karolus leczy się, u doktora Otrębusa. Właśnie źle się poczuł i*

*dlatego wezwał doktora.*

*Kobiety spojrzały po sobie zaskoczone.*

— *Nie do wiary!*

— *Choroba nie wybiera, proszę pań — westchnąłem smutno. —*

*Znachor też może zachorować.*

— *To on sam nie może się wyleczyć?*

— *Widocznie nie może.*

— *Ale dlaczego wezwał Otrębusa?*

— *Nie wiem, może dlatego, że to bardzo dobry lekarz.*

*Wiadomość wywołała głębokie wrażenie wśród pacjentów znachora.*

— *Mój Boże — szepnęła kobieta w chustce — i kto by to pomyślał!*

— *Już tam Karolus wie, u kogo się leczyć — zauważył staruszek.*

— *Ale co będzie z nami? — zaniepokoiły się kobiety.*

— *Nie ma zmartwienia — powiedziałem — doktor Otrębus zgodzi się*

*chyba zastąpić znachora.*

— *Ja tam się boję do Otrębusa — mruknęła kobieta w chustce —*

*mówią, że dla niego chory człowiek, to tyle, co zepsuta centryfuga. Zbadać*

*zbada, ale dobrego słowa nie powie, tylko tak patrzy na człowieka, że zimno się robi. Jedna moja znajoma to zachorowała nerwowo, jak Otrębus na nią spojrział.*

*Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Istotnie, doktor Otrębus miał opinię oschłego lekarza.*

*— To prawda — chrząknąłem — doktor Otrębus jest... jest trochę małomówny, ale bardzo sumienny. On nawet samego Bosmana Reję wyleczył.*

*— Dobrze mówisz — pokiwał głową staruszek — mówiła mi siostra Bosmana, wdowa, że jak się wziął na jej brata, to go wyleczył. Dużą cierpliwość okazał, bo Bosman jest trudny człowiek...*

*— Ja tam wolę poczekać — powiedziała kobieta w chustce — niech pan da mu najpierw do zbadania swoją nogę i powie pan, jaki on jest, ten Otrębus.*

*— Ano spróbuję, chociaż jestem wrażliwy — westchnął staruszek i spojrział smutno na swoją chorą nogę.*

*Uspokojeni mężną decyzją staruszka i pełni dobrych myśli weszliśmy*

**z Cykuckim do domu Karolusa.**

*Doktor Otrębus skończył właśnie badanie nieprzytomnego*

**plantatora.**

*— Trzeba mu będzie przepłukać żołądek. Zatrucie — powiedział  
wstając z kanapy. — Pojedzie do szpitala. A to, kto jest? — podszedł do  
bezwładnego kieszonkowca.*

*— To jest Dariusz Jasnobrzęski, proszę pana — odparłem. — Pan*

## **doktor chyba go zna.**

— *Dariusz Jasnobrzeski?... Ach tak... przypominam sobie. Ten typ ukradł mi w jesieni zegarek — oświadczył smętnie Otrębus i z wyraźnym wstrętem zabrał się do badania Dariusza Jasnobrzeskiego. Mimo tego wyraźnego wstrętu zbadał go jednak tak samo dokładnie jak plantatora.*

— *To samo co poprzedni — orzekł wreszcie, wyjmując słuchawki z uszu — zatrucie i rączka mu jakoś spuchła.*

— *Miał wypadek przy pracy.*

— *Rozumiem — mruknął zgryźliwie doktor Otrębus. — Widzicie, jaki przykry bywa czasem zawód lekarza! Muszę leczyć rękę, która mnie okradła. Czy w ogóle jest sens leczyć taką rękę? — westchnął ciężko i podszedł do trzeciego pacjenta, tego który zwisał dramatycznie z fotela. — A tu z kim mam przyjemność? — wziął za puls nieprzytomnego.*

— *To znachor Karolus — bąknąłem.*

*Otrębus puścił rękę znachora.*

— *Nie. Tego już za dużo! — zdenerwował się. — Mam leczyć tego wroga medycyny?! Za wiele ode mnie żądacie! Niech się sam leczy!*

— *Znachor to też człowiek — zauważyłem nieśmiało.*

— *Mój drogi chłopcze, nie rozczulaj mnie! — zagrzemiał Otrębus.*

— *On bardzo ceni pana doktora.*

— *Ha! ha! — zaśmiał się szyderczo Otrębus.*

— *On właśnie kazał pana doktora wezwać. To były jego ostatnie słowa: „sprowadźcie doktora Otrębusa”.*

*— To chyba największe wyróżnienie, jakie mnie spotkało w czasie  
mojej czteroletniej praktyki w Nieklaju. Doprawdy jestem dumny — rzekł  
wciąż zgryźliwie doktor Otrębus, zabrał się jednak do badania znachora.*

*— No tak — powiedział wstając — będę go musiał również zabrać do  
szpitala. Wierście mi, że wolałbym zabrać żmiję. Nie macie pojęcia, ile  
mnie kosztuje ta decyzja. Muszę przewyciężyć poważne wewnętrzne*

## **opory.**

— *To bardzo szlachetnie z pana strony, że zechciał pan przyjść z pomocą nieszczęśliwemu... — chciałem powiedzieć „koledze”, ale w porę ugryzłem się w język.*

— *Obowiązki lekarza są bardzo ciężkie — dodał ze zrozumieniem Majta. — Tym bardziej, że to jeszcze nie koniec... Musi pan doktor zbadać tych ludzi, co czekają na dworze.*

— *Chłopcy, nie żartujcie ze mnie.*

— *My nie żartujemy. Niektórzy są naprawdę poważnie chorzy. A z powodu wypadku znachora zostali pozbawieni opieki lekarskiej.*

— *Tylko niech pan doktor ich nie spłoszy — powiedziałem. — Oni są w*

## **pewnym sensie rozpieszczeni przez znachora...**

*— Co?! — nastroszył się doktor Otrębus.*

*— Musi pan być dla nich czuły jak Karolus. Karolus nawet jak szkodził ludziom, to robił to czule. I musi pan każdego pocieszyć. To są przeważnie bardzo nieszczęśliwi ludzie. Najlepiej gdyby pan mówił do nich „serca złote”...*

*Doktor Otrębus poczerwieniał. Już myśleliśmy, że nas okłnie, ale na szczęście opanował się.*

*— Macie duże wymagania — skrzywił się. — No, ale spróbuję choć raz dorównać Karolusowi. Wpuszczajcie ich po kolei, tych pieszczochów.*

*Rzuciliśmy się do drzwi.*

*— Nie, poczekajcie jeszcze — zatrzymał nas — musimy najpierw wyekspediować do szpitala tych zatrutych. Biegnijcie do ambulansu po nosze, serca złote. Co ja powiedziałem?! — otrząsł się. — Niestłuchana historia!*

## **ROZDZIAŁ IX**

*Nazajutrz przekroczyliśmy progi szkoły z minami skazańców.*

*Oblicza nasze wprawdzie były czyste, bez wysypki, ale wzrok ponury...*

*tak, wiedzieliśmy dobrze, nic już nas nie uratuje. Ten piękny wiosenny dzień będzie dniem naszej matematycznej klęski.*

*Przed drzwiami klasy Cykucki nie wytrzymał nerwowo i chciał haniebnie ratować się ucieczką, ale dogoniłem go na schodach.*

*— Bądź mężczyzną, Cykuś — powiedziałem — to prawda, że wszystko*



*sprzysięgło się przeciw nam i będziemy rozkwaszeni przez Kwasa; ale za to  
zrobiliśmy coś bardzo ważnego. Uratowaliśmy ludzi od znachora. To  
chyba jest coś...*

*— Tak, ale nie uratujemy siebie od klasówki — jęknął grobowo*

# Cykucki.

*— To nic, teraz będzie nam łatwiej to znieść — powiedziałem.*

*Niestety, Cykuś nie był o tym przekonany. Tym większe więc należy mu się uznanie, że zdołał przewyciężyć wewnętrzne opory, podobnie jak Otrębus badający znachora, i pozwolił zaprowadzić się do klasy, wykazując dużą odwagę cywilną.*

*Los nam oszczędził przynajmniej mąk oczekiwania, bo lekcja matematyki była pierwsza. Kwas zjawił się punktualnie i podyktował nam bez zbędnej zwłoki trzy arcyprzyjemne zadanka: jedno o pociągach jadących naprzeciwko siebie, drugie o samochodzie ścigającym rowerzystę, a trzecie o złośliwym rolniku, któremu, na naszą zgubę, zachciało się obsiewać część pola bobem, drugą część peluszką, a resztę*

**pasternakiem.**

*W klasie zapanowała iście kosmiczna cisza. A potem zamiast skrzypienia piór rozległ się szelest papieru. To drugoroczny Dendroń z ostatniej ławki wyciągnął plik ściągaczek i chciał je puścić w obieg po klasie. Niestety, nie docenił słuchu pana Kwasa. Pan Kwas kiwnął na niego palcem i kazał mu podejść do tablicy. Dendroń zręcznym ruchem wsunął ściągaczki do pantofla, ale okazało się, że nie docenił tym razem wzroku pana Kwasa. Pan Kwas kazał mu zdjąć pantofel i wyluskał z niego dowód przestępstwa, czyli corpus delicti w całej okazałości.*

*— Dziękuję, Dendroń, z tobą już sprawa załatwiona. Szybko i bezboleśnie. Możesz pójść pobrykać na korytarz.*

*Dendroń czerwony jak pomidor wyszedł z klasy.*

*Pan Kwas obszedł wszystkie ławki i kazał pokazywać ręce, gdyż jak słusznie przypuszczał, niektórzy chłopcy mieli na dłoniach wypisane matematyczne wzory. Tym nieszczęśnikom polecił umyć ręce w umywalni.*

*Cała klasa zamarła wtedy ostatecznie. Zanosilo się na pogrom, jakiego nie znały dzieje naszej sławnej budy.*

*Nagle w tej tragicznej dla nas chwili za oknem rozległo się rżenie konia, a my wzdrygnęliśmy się wszyscy, bo zdawało nam się, że nawet koń się z nas śmieje. Potem doszliśmy wprawdzie do wniosku, że było to rżenie nie tyle szydercze, co żalosne, nie poprawiło to jednak naszych humorów.*

*Przeciwnie, uznaliśmy to za złą wróżbę.*

*W tej sytuacji nie próbowałem nawet wziąć się do rozwiązywania*

*jakiegoś zadania. Wiedziałem z góry, że są to wysiłki daremne, zważywszy mizerne zasoby mej arytmetycznej wiedzy. Odłożyłem więc pióro i gapiłem się w okno, obserwując po kolei wszystkie dachy w sąsiedztwie. Liczyłem właśnie nowe anteny telewizyjne, kiedy niespodziewanie widok przesłonił mi jakiś nieforemny kapelusz. Za oknem pojawiła się długa i chuda twarz, dziwnie znajoma. Gdzie ja ją już widziałem? Ach tak, to przecież ten głodomór od znachora. To jego twarz, wygolona dziś tylko i jakaś jakby zdrowsza... Ale co on tu robi? Wytrzeszczyłem zdumiony oczy. Głodomór przykleił twarz do szyby, zobaczył mnie widać, bo zaczął mi dawać jakieś znaki. Coś mówił, ale nie mogłem zrozumieć, bo okno było zamknięte. Zniknął potem na chwilę i wrócił z kawałkiem papieru. Przyłożył go do szyby. Na papierze było coś napisane. Nim jednak zdążyłem przeczytać, usłyszałem głos Kwasa.*

*— A to co za dowcipy? Bawicie się w głuchy telefon?!*

*Dopiero teraz zauważyłem, że cała klasa z Kwasek na czele obserwuje dziwne zachowanie osobnika za oknem. Chciałem dać głodomorowi rozpaczliwy znak, żeby się ulotnił, ale było już za późno. Pan Kwas otworzył okno i kiwnął na głodomora palcem.*

*— Cóż pan się tak czai, niech no pan podejdzie.*

*Chłop zbliżył się i ukłonił Kwasowi kapeluszem. Nieszczęsny nie znał się zupełnie na zagraniach Kwasa.*

*— Cóż pan szanowny tak przez okno mimicznie? Nic nie słyszymy.*

*Czy nie lepiej wejść do klasy? — zapytał Kwas.*

*— Nie chciałem przeszkadzać — bąknął chłopina.*

— *Nie... pan nic a nic nam nie przeszkadza, niechże pan się nie krępuje, przyjdzie tu do nas i powie nam głośno, co pan ma dopowiedzenia*

— *wycedził jadowicie Kwas.*

*Pocziwiec nie spostrzegł jednak tej jadowitości w słowach Kwasa i zapytał naiwnie:*

— *A... a którądy się do was idzie?*

— *Na prawo do bramy, a potem korytarzem. Zapyta pan o klasę*

**pana Kwasa.**

— *Dziękuję panu, zaraz będę. Bardzo dziękuję za życzliwość* —

*głodomór uklonił się kapeluszem i zniknął nam z pola widzenia.*

*Siedziałem przerażony. Miałem jeszcze nadzieję, że nieszczęsny się*

*opamięta i zrozumie, że Kwas zastawia na niego sidła, ale nie upłynęły*

*trzy minuty, kiedy do drzwi rozległo się grzeczne pukanie.*

— *Proszę* — *powiedział Kwas. Wpuścił głodomora do klasy i stanął*

*przed nim z rękami założonymi z tyłu. — Doskonale! Teraz możemy*

*porozmawiać. Pan podpowiadał uczniom!*

— *Ja? Nie rozumiem...* — *wybelkotał głodomór.*

— *Niech pan się nie tłumaczy! Widziałem wszystko!* — *zagrzmiał*

*Kwas. — Wstyd! Starszy człowiek i dał się namówić do czegoś podobnego.*

*W dodatku wątpię, czy potrafi pan podpowiadać z sensem. Nie wygląda*

*pan na matematyka. Czy pan jest ojcem któregoś z uczniów?*

— *Nie... ja tylko...*

— *Niech pan pokaże tę ściągaczkę.*

— *Ściągaczkę?!*

— *Proszę się nie wypierać. Pan pokazywał przez szybę jakiś papier.*

*O, widzę, ma pan go jeszcze w kieszonce* — *zdenerwowany Kwas*

*wyciągnął głodomorowi z kieszeni marynarki sterczącą kartkę. Poprawił*

*okulary i przeczytał głośno:*

*„Chłopaki wyjdźta, ino szybko. Przywiozłem Stefka. Niedobrze z*

*nim”.*

— *Co takiego?! — osłupiał Kwas. — Co pan tu powypisywał?*

— *Ano napisałem, że przywiozłem syna do badania.*

— *Jak to „do badania”?*

— *A bo mu to kolano spuchło i gorączki dostał.*

— *I tu go pan przywiózł? Do szkoły!? Po co?*

— *To prawda, że niezręcznie wyszło, ale nie miałem wyjścia, bo*

*chłopak na oczach słabnie. Pojechałem najpierw na Zapłotkową do*

*Karolusa, ale mi dozorca powiedział, że pan Karolus jest w szpitalu. Więc*

*szukałem znachorczyków. Pomyślałem, że pewnie są w szkole i*

*przyjechałem do szkoły... Przez okna wypatrywałem... No i wypatrzyłem.*

— *Zaraz — powiedział oszołomiony Kwas — nie rozumiem. Kogo pan wypatrywał?*

— *Przecież mówię: znachorczyków.*

— *Tu nie ma żadnych znachorczyków.*

— *Jakże nie ma — zaśmiał się głodomór — jeden jest na pewno.*

*Pan Kwas poprawił nerwowo szyję w kołnierzyku.*

— *Który?*

— *A ten w trzeciej ławce pod oknem z prawa — głodomór bez wahania pokazał na mnie.*

*Zrobiło mi się gorąco.*

— *To jest Strzębski — powiedział pan Kwas.*

— *Możliwe, że on się tak nazywa — odparł chłop. — Ale to jest*

## **znachorczyk.**

— *Nie bardzo rozumiem... co to znaczy „znachorczyk”?... Może pan to bliżej wyjaśni.*

— *No... pomocnik znachora.*

*Pan Kwas zaniemówił na chwilę.*

— *Co ja słyszę, Strzębski! Zajmujesz się znachorstwem?!*

*Wstałem przerażony.*

— *Ja nie... to znaczy...*

— *Bo ja miałem włos w żołądku. Przylepiony, proszę pana — wtrącił głodomór.*

— *Włos w żołądku?! — wykrztusił Kwas.*

— *Tak, miałem ten włos w żołądku i nic mi nie pomagało. Karolus trzymał mnie na diecie przez trzy miesiące i różne lekarstwa dawał, ale nic nie pomagało... Dopiero ten znachorczyk mnie wyleczył... Jak ręką odjął, proszę pana... Siedmioma pigułkami mnie wyleczył... Ja to panu opowiem dokładnie...*

*Pan Kwas zamachał rozpaczliwie rękoma.*

— *Nie... niech pan nie opowiada. Pójdziemy do pana kierownika i tam wszystko obaj opowiecie. Strzębski, proszę z nami!*

— *Proszę pana — wykrztusiłem — ja może najpierw wytłumaczę...*

— *Nie będziemy robić przedstawienia w klasie. Wytłumaczysz się u pana kierownika — zagrzmiał Kwas. — Znachorczyk! Takiego jeszcze nie było! Co za pomysły! Przerywamy pisanie klasówki! Na razie rozwiązacie,*



*chłopcy, zadanie numer siedemdziesiąt trzy i siedemdziesiąt cztery z*

*podręcznika. I proszę o spokój. A my idziemy do pana kierownika.*

*Wyszedłem z ławki na uginających się nogach, odprowadzany*

*oślepiałym wzrokiem całej klasy i wystraszonym spojrzeniem Cykuckiego.*

*Przez całą drogę do kancelarii głodomór z przejęciem opowiadał*

*panu Kwasowi dzieje swojego włosa w żołądku i przebieg kuracji ze*

*wszystkimi szczegółami, pogarszając jeszcze sytuację i pogrążając mnie*

# **beznadziejnie.**

— *Niech pan przestanie, bo robi mi się niedobrze — błagał go pan*

*Kwas, ale bezskutecznie. Chłopina rozgadał się na całego.*

*Mnie też robiło się coraz bardziej niedobrze, aczkolwiek z innego*

*powodu. Być oskarżonym o znachorstwo to nic przyjemnego. Czy*

*nauczyciele zrozumieją moje intencje? Czy mi uwierzą? A co będzie, jak się*

*dowiedzą o aferze z wysypką? Ciarki mnie przeszły. A jeśli nie powiem o*

*wysypce, to jak wytłumaczę moją obecność u znachora? I tak źle, i tak*

*niedobrze. Czuję, że jestem zaplątany beznadziejnie i że nie obejdzie się*

*bez skandalu, jakiego Niektaj jeszcze nie widział!*

— *Pan tu zaczeka — usłyszałem głos pana Kwasa. Zostawił*

*głodomora na krześle przed kancelarią. Widać postanowił najpierw*

*rozprawić się ze mną.*

— *Wchodź, Strzębski — popchnął mnie przed sobą, otwierając drzwi.*

*Pan kierownik siedział przy swoim biurku. Na nasz widok podniósł*

*się zdziwiony.*

— *Przepraszam, że tak nagle w czasie lekcji — zasapał pan Kwas —*

*ale sprawa jest wyjątkowa. Jestem wstrząśnięty, panie kierowniku, po*

*prostu brak mi słów! Tego jeszcze u nas nie było. Czy pan wie, kogo*

*odkryłem w klasie?*

— *Hokeistów? — zapytał flegmatycznie pan kierownik.*

*Pan Kwas zamachał lekceważąco ręką.*

— *Nie, z hokeistami to stara historia.*

— *Bokserów?*

— *Gorzej.*

— *Dżudoków?*

— *Żeby to.*

— *Palaczy cygar? Pokerzystów? Szantażystów?*

— *Pan nie zgadnie — znachorów! — wykrzyknął pan Kwas i opadł*

**na fotel.**

— *Pan żartuje — zmarszczył brwi kierownik.*

— *Tak, to brzmi jak zły dowcip, ale niestety to jest prawda. Ten oto uczeń został znachorem, a podejrzewam, że są i inni znachorzy, ponieważ świadek, którego zostawiłem za drzwiami, mówił wyraźnie o znachorczykach w liczbie mnogiej. Proszę spojrzeć za okno. Stoi tam koń i furmanka, na furmance jest chore dziecko przywiezione, aby je Strzębski wyleczył.*

— *To chyba jest nieporozumienie.*

— *Żadne nieporozumienie. To są fakty. Oni leczą już nie od dzisiaj, jakimiś pigułkami. Dziś w czasie lekcji przybywa do mnie chłop i oświadcza, że Strzębski go wyleczył z włosa w żołądku...*

— *Z włosa w żołądku? Panie kolego, czy pan się dobrze czuje? — pan kierownik spojrzał na pana Kwasa z troską.*

— *Wiedziałem, że pan mi nie uwierzy — uśmiechnął się boleśnie pan Kwas — dlatego przerwałem bez namysłu klasówkę, by doprowadzić tu świadka. Proszę zapytać tego chłopca, co siedzi przed drzwiami kancelarii.*

*Pan kierownik wyszedł z kancelarii. Po dwu minutach wrócił głęboko wzburzony.*

— *Ależ tak! — zawołał — pan ma rację! Wszystko się zgadza. To przechodzi wszelkie pojęcie. Hokej, bicie się kijami na lodzie, boks, dżudo, nawet poker — wszystko mogłem zrozumieć, ale znachorstwo u młodzieży, to już przechodzi wszelkie pojęcie! Uczniowie szkoły na*

*usługach ciemnoty! Co was do tego skłoniło? Czy to miał być głupi kawał,*

*czy też niezdrowa chęć zysku?... Strzębski odpowiada!*

*— My... my... — wyjąkałem — my zostaliśmy zmuszeni do*

## **znachorstwa.**

*— Zmuszeni? Jak to?! Przez kogo? Cóż to za wykręty? A w ogóle skąd właściwie wzięliście się u znachora?*

*Milczałem. To było bardzo trudno wytłumaczyć, skąd wzięliśmy się u znachora i dlaczego zostaliśmy zmuszeni do znachorstwa. Chyba, że doktor Otrębus... Tak, cała nadzieja w doktorze Otrębusie. Ale on wie o wysypce... Co będzie, jak zdradzi... Trudno... niech zdradzi, byle tylko także powiedział o drugiej stronie naszej działalności.*

*— A więc, Strzębski, nie masz nic do powiedzenia? — podniósł głos*

**pan kierownik.**

— *Mam... Tylko to bardzo zawiłane, panie kierowniku. Niech pan kierownik zapyta lepiej doktora Otrębusa.*

— *Doktora Otrębusa? A cóż doktor Otrębus ma z tym wspólnego?!*

— *Bo on przyjmował u znachora... i...*

— *Cóż to znowu za brednie?!*

— *To nie brednie, panie kierowniku. Doktor Otrębus naprawdę leczył u znachora, bo... no... bo on zastępował znachora.*

**Nauczyciele spojrzeli po sobie stropieni.**

*— Czy ty jesteś zupełnie zdrow? — pan kierownik położył mi rękę na*



**czole.**

— *On był bramkarzem hokeistów — przypomniał ponuro pan Kwas — i to mogło zostawić trwały ślad na jego umyśle.*

— *Jestem zupełnie zdrow, tylko... mnie naprawdę trudno wytłumaczyć — jęknąłem — wszystko tak się zaplątało.*

— *Poolimpijskie komplikacje, tudzież tarapaty — uśmiechnął się kwaśno pan Kwas.*

— *Tak, proszę pana, tarapaty — przyznałem — i bardzo proszę pana kierownika, żeby pan kierownik zadzwonił do doktora Otrębusa. On wie, co myśmy robili u znachora.*

*Pan kierownik westchnął ciężko i bez wielkiego przekonania podniósł słuchawkę telefonu.*

— *Tu kierownik szkoły Konarskiego. Czy mogę prosić doktora Otrębusa?*

*Czekałem w napięciu. Bałem się, że doktora Otrębusa nie będzie, ale okazało się na szczęście, że był. Nie upłynęła minuta, gdy w słuchawce zachrobotał znajomy głos.*

— *Dzień dobry, panie doktorze — odezwał się pan kierownik. — Tak, mówię ze szkoły. Bardzo przepraszam, ale muszę zadać panu pewne raczej dość dziwne pytanie: Czy... czy... zastępował pan wczoraj znachora Karolusa?... Co?!.. Więc to prawda... Nie... tylko mój uczeń... mamy pewną nieprzyjemną sprawę... uczeń występował jako znachor... Co? Było ich trzech? Zna pan nazwiska?... To właśnie oni pana wezwali?... Nie*

rozumiem... — pan kierownik gwałtownie rozluźnił sobie krawat wokół szyi. — A jednak zanim pan przyjechał, oni leczyli... dali temu chłopinie jakieś pigułki w ilości siedmiu sztuk... Mówi, że wyzdrowiał...

Pogratulować? No wie pan, pan doktor chyba żartuje... Sądzi pan, że chcieli zyskać na czasie, żeby pan zdążył przyjechać? Hm, trudno w to uwierzyć... Sądzę, że to ich raczej bawiło. Pan ich nie zna jeszcze, to urwisy. W dodatku ten chłop przywiózł dziś chore dziecko i żąda, żeby je zbadali... Przyjeżdża pan? Doskonale... Co? Żeby nie spłoszyć?... Jakże ja mogę pozwolić na coś takiego!... Zgoda, ale nie biorę odpowiedzialności. I na miłość boską niech pan szybko przyjeżdża!...

Pan kierownik położył słuchawkę i spojrzał na mnie spod okularów bardzo dziwnym wzrokiem. Krapul, który jest ekspertem, nazywa to spojrzenie „zasadniczym spojrzeniem gogicznym”, bardzo niebezpiecznym dla uczniów.

Poczułem się nietęgo, tym bardziej, że pan kierownik polecił pani woźnej sprowadzić do kancelarii Cykuckiego i Majtę, a kiedy stawili się wystraszeni, ustawił nas wszystkich trzech pod ścianą. Kiedy pan kierownik wzywa uczniów do kancelarii i ustawia pod ścianą, to znaczy, że czeka ich poważniejszy zabieg wychowawczy, a mianowicie wstrząsanie brudnych sumień. Wiadomo zaś, że sumienie ucznia wstrząśnięte przez pana kierownika nie może się uspokoić przez pół dnia, a czasem nawet przez cały dzień.

Staliśmy więc zrezygnowani i czekaliśmy, kiedy się zacznie.

Lecz pan kierownik się nie spieszył. Najpierw mierzył nas uparcie

wzrokiem. Sądziłem, że jest to właśnie owo „zasadnicze spojrzenie gogiczne”, lecz okazało się, że się mylimy. To nie było zasadnicze spojrzenie gogiczne, to było coś znacznie więcej. Patrzył, jakby nas nie znał... Podobno, co jakiś czas, rzadko zresztą, zdarza się panu kierownikowi tak patrzeć na uczniów, jakby ich widział po raz pierwszy... Wreszcie przemówił, ale nie do nas. Przemówił do pana Kwasa.

— Dowiedziałem się przedziwnych rzeczy od doktora Otrębusa.

Myślałem, że ci hultaje już niczym nie potrafią mnie zaskoczyć, a jednak zaskoczyli... — przerwał i zaczął spacerować po gabinecie. Niech pan sobie wyobrazi... doktor Otrębus kazał im podziękować! Twierdzi, że dzięki nim udało mu się wyrwać cały zastęp chorych z rąk niebezpiecznego znachora i na czas umieścić ich w szpitalu... Jednym słowem, ci chorzy zawdzięczają naszym chłopcom zdrowie, a może i życie... Byłbym bardzo zadowolony, gdyby nie to, że w całej tej sprawie są pewne niejasne punkty, chociażby dziwna czerwona wysypka na twarzy Cykuckiego, która wprawiała w zdumienie samego doktora Otrębusa, a potem, jak twierdzi, w sposób nadzwyczaj podejrzany i nie notowany przez współczesną medycynę znikła.

Pan kierownik zatrzymał się przed nami i zmarszczył brwi.

— Wasze szczęście, że nie mam czasu bawić się w śledztwo, bo gdybym poszperał, to pewnie doskrobałbym się jakiejś brzydkiej sprawy, co? Ale ponieważ doktor Otrębus jest tak wami zachwycony, więc położmy na tej sprawie krzyżyk — pan kierownik westchnął i spróbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu wyszło.

*Szurnęliśmy nogami i chcieliśmy się pospiesznie wycofać szczęśliwi,*

*że na tym się skończyło, ale pan kierownik zatrzymał nas ostro.*

*— Stop. Jeszcze nie koniec. Skoro już otumaniliście tego biednego człowieka o wyglądzie głodomora, to chyba macie w stosunku do niego jakieś zobowiązania.*

*— Ale co my możemy zrobić? — wykrztusiłem.*

*— Musicie się nim zająć, póki doktor Otrębus nie przyjedzie. Dziecko chyba trzeba będzie odstawić do szpitala. Ale mogą być trudności. Jeśli ktoś wierzy w cudowne środki znachorskie, to broni się przed szpitalem. Otóż doktor Otrębus ma nadzieję, że mu pomożecie. Ponieważ udało wam się jakimś ciemnym sposobem, wolę nie wnikać jakim, zdobyć zaufanie tego chłopca, więc jeśli zaordynujecie...*

*— Co to znaczy, proszę pana?*

*— Tak mówią lekarze. „Zaordynujecie”, to znaczy „zalecicie”. Więc jeśli zaordynujecie, czyli zalecicie odwieźć dziecko do szpitala, to on was na pewno posłucha.*

*Spojrzałem na pana kierownika zdumiony.*

*— Nie bardzo rozumiem... więc to znaczy, że my...*

*— To znaczy — zdenerwował się pan kierownik — no... to po prostu znaczy, że macie po raz ostatni zabawić się w znachorów!*

*Przez chwilę staliśmy oszołomieni.*

*— Cóż oni tak stoją! Niech no pan ich ruszy! — powiedział pan*

## **kierownik do pana Kwasa.**

*— Jazda, znachorzyki! — popędził nas pan Kwas.*

*W drzwiach spojrział na zegarek i mina mu się wydłużyła.*

*— No tak... z klasówki znów nici. Tym razem się wam jeszcze upiecze, ale na przyszły tydzień biada wam, znachorzy!*

*Wybiegliśmy na korytarz.*

*— Tydzień ma siedem dni — zauważyłem.*

*— Tak. Przez ten czas znajdziemy chyba jakiś nowy sposób —*

*uśmiechnął się chytrze Cykucki.*

*Westchnąłem ciężko. Jeśli o mnie chodzi, miałem już dość sposobów.*

*Chciałem właśnie powiedzieć o tym Cykuckiemu, ale już zbliżał się do nas zatroskany głodomór...*